



6 maja 2026

NR 104 (18497)

SPORT



Sześć punktów do Europy?

Wydanie papierowe ISSN 0137-9305

Wydanie cyfrowe ISSN 3072-0575

Wszystko w rękach GieKSy

Do końca sezonu zespół Rafała Górnika ma do rozegrania trzy mecze, które zdecydują o tym, czy zespół znajdzie się w eliminacjach europejskich pucharów.

GKS KATOWICE

Po efektownej wygranej z Bruk-Betem (5:1) Katowiczanie znaleźli się na trzecim miejscu. Coraz bliżej zespołowi do europejskich pucharów, więc zastanówmy się, jakie scenariusze na koniec rozgrywek mogą spotkać GieKSę.

Matematyczne szanse

Najmniej prawdopodobny jest scenariusz ze zdobyciem mistrzostwa kraju. To wciąż możliwe, pod warunkiem, że GKS wygra wszystkie trzy ostatnie mecze, a do końca sezonu Lech Poznań nie zdobędzie ani jednego punktu, Górnik Zabrze nie zdobędzie więcej niż sześć punktów, Jagiellonia Białystok i Raków Częstochowa nie zdobędą więcej niż 10 punktów. To raczej science fiction, choć matematycznie – trzeba do podkreślić – na trzy kolejki przed końcem zmagania GieKSa nadal ma szansę na zdobycie złotego medalu. To dobrze świadczy o ekipie z Górnego Śląska, która wiosną jest drugą po Lechu najlepiej punktującą drużyną w ekstraklasie.

A może wicemistrzostwo?

A skoro GKS ma szansę na mistrzostwo, ma też naturalnie realne szanse na wicemistrzostwo. Aktualnie Katowiczanie są za plecami Zabrze, do których tracą dwa punkty. Należy jednak pamiętać, że zespół Michała Gasparika ma do rozegrania jeden zaległy mecz z Arką



Czy latem zobaczymy Katowiczan w Europie?

Gdynia. Górnik ma więc do podniesienia z boiska 12 punktów. Żeby GKS mógł w ogóle liczyć na awans na drugą lokatę, musi przede wszystkim oczekiwać na potknięcie Górnika nie tylko w jednym meczu, ale aż w dwóch! Załóżmy, że Lech zostanie mistrzem. Jeśli Zabrze do końca sezonu wygra dwa mecze, zremisują jeden i jeden przegrają, a GKS wygra wszystkie starcia, wówczas obie ekipy zrównają się punktami. Co wydarzy się w takiej sytuacji? Liczy się będą mecze bezpośrednie. U siebie GieKSa wygrała 3:1, na wyjeździe przegrała 0:3, więc Górnik skończyłby na drugim miejscu, a Katowiczanie na trzecim. Żeby więc GKS był wicemistrzem, Górnik musi przegrać co najmniej dwa mecze.

Rywale za plecami

To oczywiście teoria, która – dla uproszczenia – wyklucza Jagiellonię Białystok, Raków Częstochowa, Zagłębie Lubin, Wisłę Płock i Radomiak z walki o wicemistrzostwo, choć przecież wszystkie te zespoły mają jeszcze matematyczne szanse na wyprzedzenie Górnika. Dodajmy jednak do równania tylko Jagiellonię i Raków, które – tak jak Górnik – mają mecz zaległy, w którym zmierzą się ze sobą. Obie te drużyny są w tabeli za plecami GieKSy z punktem straty. Przyjmijmy, że GKS wygra wszystkie pozostałe mecze, a Górnik wszystkie przegra. Jagiellonia i Raków w teorii mają do zdobycia 12 punktów. W praktyce tylko jedna z tych drużyn może osiągnąć taki wynik, ponieważ w naszym założeniu przyjmujemy,

że GKS wygra z Jagą 17 maja u siebie w przedostatniej kolejce. Załóżmy więc, że Raków wygrywa z Jagiellonią i zdobywa komplet punktów w pozostałych spotkaniach. Wówczas GKS traci szansę na wicemistrzostwo, bo Częstochowianie bezproblemowo wyprzedzają Katowiczan.

Ciekawiej zrobi się jednak, jeśli Jagiellonia wygra z Rakowem. Wówczas tylko od GieKSy zależy, czy skończy sezon przed Białostoczanami i Częstochowianami, czy za nimi. Jeśli scenariusz o zwycięstwie Dumy Podlasia z Medalikami spełniłby się, a GKS wygrałby wszystkie pozostałe mecze, w tym starcie z Jagiellonią, Katowiczanie zakończą sezon przed obiema tymi ekipami, czyli co najmniej na trzecim miejscu, a w najlepszym realnym scenariuszu zdobędą srebr-

ne medale! Co będzie oznaczać wicemistrzostwo? Grę w drugiej rundzie eliminacji Ligi Mistrzów. Co będzie oznaczać trzecie miejsce, przy założeniu, że Górnik, zdobywca Pucharu Polski, zajmie drugie lub pierwsze? Grę w trzeciej rundzie eliminacji Ligi Europy.

Sześć punktów do Europy?

Walka o podium jest realistycznym, ale też optymistycznym dla GKS-u celem. Różnice punktowe w górnej części tabeli są tak małe, a jeszcze wiele może się wydarzyć. Zakładając, że Górnik zajmie drugie miejsce, trzecie miejsce gwarantować będzie grę w eliminacjach LE, a czwarte i piąte będą zapewniać grę w eliminacjach LK (od drugiej rundy). Raków może wyprzedzić GKS, jeśli na koniec sezonu zrówna się z nim punktami, ponieważ w meczach bezpośrednich dwukrotnie wygrywał. Na razie nie wiadomo, co stałoby się w identycznym przypadku z udziałem GieKSy i Jagiellonii, bo drugi mecz tych ekip nie został jeszcze rozegrany. Załóżmy jednak, że Raków remisuje z Jagiellonią, a pozostałe mecze obie te drużyny wygrywają. Wówczas GKS spada z trzeciej pozycji, Jagiellonia i Raków wyprzedzają go, bo na pewno straci trzy punkty przez porażkę z Białostoczanami. Do zdobycia pozostanie ma jeszcze sześć punktów. Czy jeśli je

zdobędzie, na pewno zagra w Lidze Konferencji, zajmując piąte miejsce? Wiele na to wskazuje! GKS w takim przypadku miałby 54 punkty. Wyprzedzić mogłyby go tylko Zagłębie i Wisła. Natomiast w naszym założeniu przyjęliśmy, że Jagiellonia wygrywa wszystkie mecze, ma ona przed sobą mecz z Zagłębiem. Lubinianie odpadają więc z wyścigu. Z kolei Wisła ma przed sobą mecze z Górnikiem i Lechem. Choćby jeden remis w naszym założeniu wyklucza Nafciarzy z walki z GieKSą.

Jaki z tego wniosek? W praktyce dwa zwycięstwa do końca sezonu powinny GKS-owi zapewnić grę w europejskich pucharach. Które miejsce zajmie przy takim założeniu? Trudno na ten moment przewidzieć, bo scenariuszy końca sezonu jest mnóstwo. Pewne jest jednak, że Katowiczanie są bardzo blisko europejskich pucharów i tylko od nich zależy to, czy w nich zagrają. Możliwe jest jednak też to, że odpadną z tej walki. Jeśli zdobędą tylko trzy punkty, Zagłębiu lub Wiśle wystarczą dwie wygrane do wyprzedzenia GKS-u. Radomiak w takim przypadku musiałby natomiast wygrać wszystkie mecze, żeby wyprzedzić GieKSę. Jeśli drużyna trenera Górnika zdobędzie punkt, dwa lub w ogóle nie powiększy swojego dorobku, wówczas wyprzedzić ją będzie mogła nawet 11. w tym momencie Legia Warszawa.

Kacper Janoszka

Z DRUGIEJ STRONY

Samba!

Paweł Czado



Wczasach, gdy piłkarz w trakcie kariery jest w stanie zagrać w dziesięciu ligach na trzech kontynentach i nie jest to bynajmniej zwalającą z nóg rzadkością, uwagę i uśmiech musi budzić fakt, do którego zaraz dojdzie w Radomiu. Otóż meczem z Lechem w 33. kolejce (spotkanie odbędzie się 15 maja) karierę zakończy 37-letni brazylijski napastnik Leandro Rossi Pereira. Jego ekstraklasowy dorobek to 83 mecze i 6 bramek. Nie robi to jakiegokolwiek wrażenia, to niezbyt imponujące osiągnięcie. Jednak w tym przypadku co innego jest ważne. Otóż facet w Radomiu gra już... piątnasty sezon! Pięt-nas-ty! Leandro przyszedł do Radomiaka w przerwie zimowej sezonu 2011/12, czyli jeszcze... zanim Polska zorganizowała mistrzostwa Europy!

Leandro trafił do Radomia w roku, gdy sejm podnosił wiek emerytalny do 67. roku życia, krajem targata afery piramidy finansowej Amber Gold (niczego się nie uczymy), umarła Whitney Houston, prezydentem Rosji po raz drugi został niejaki Putin, Facebook debiutował na giełdzie, a Felix Baumgartner wykonał skok ze stratosfery. Świat nabierał rozpędu, pędził co raz szybciej, ale w Radomiu można było niezmiennie polegać na gościu o przydomku Leandro. To byto stałe.

Przypomnijmy; to facet, który przyszedł z... Zawiszy Rzgów, w którym wcześniej spędził rok. Zaznaczę, że był to transfer na poziomie III ligi. Pierwszego gola Brazylijczyk przywalił od razu w debiucie, czyli w meczu z Mazurem Karczew. Było to 25 marca 2012 roku... Niespełna miesiąc później popisał się pierwszym hat trickiem. Potem można było na niego liczyć przez tyle

lat... Ostatnią bramkę strzelił w ekstraklasie Motorowi Lublin, w maju zeszłego roku. W obecnym sezonie wyszedł tylko dwa razy na epizod w ostatniej minucie. W sumie nie wiem, czy nawet kopnął piłkę. Nie zmienia to jednak faktu, że ten 37-latek to postać w Radomiu bardzo zasłużona. Na tyle, że w czerwcu 2021 roku dostał polskie obywatelstwo.

O Radomiaku mógłby napisać książkę. Przeżył w nim cztery awanse (dwa do II ligi, jeden do I ligi i jeden do ekstraklasy). Ogółem na tych wszystkich poziomach zagrał 375 razy, wbijając 121 bramek! „Zaplanowaliśmy specjalne atrakcje oraz godne pożegnanie naszej legendy. Dlatego warto pojawić się na stadionie wcześniej i być częścią tego wydarzenia od samego początku. To spotkanie zastępuje na pełne trybuny. Leo, dziękujemy za wszystko. Przed nami jeszcze jeden wspólny wieczór” – ogłasza radomski klub. Leandro nie żegna się oczywi-

ście z Polską. Z prostego powodu: w 2022 roku oświadczył się pięknej Katarzynie, która była na każdym meczu Radomiaka. Stało się to podczas pierwszej wspólnej wizyty w rodziców piłkarza w Brazylii. Tworzą rodzinę, mają córkę, która przyszła na świat cztery lata temu.

Leandro przebił nawet innego matuzalema, Marcusa Viniciusa z Arki Gdynia. W tym samym czasie, gdy on przechodził z Rzgowa do Radomia, Vinicius przechodził z Orkanu Rumia do Arki, w której po latach, a konkretnie w 2021 roku, został najstarszym strzelcem, a przy okazji też najsukuczniejszym. Oba te przypadki łączy jedno: Brazylijczycy pobyt w Polsce zaczęli w małych klubach, ale wytrwałością i talentem wywalczyli miejsce wyżej. Doceniali to, co mieli, nie szukali zachłannie dalej. W efekcie stali się legendami.

Paweł Czado

Najważniejszy mecz w życiu

Rafał Janicki jest jednym z tych w górniczej ekipie, który z Pucharu Polski cieszy się najbardziej! Ma ku temu powody.

GÓRNIK ZABRZE

Środkowego obrońcę Górnika – piłkarza, który ma rozegranych 407 meczów w ekstraklasie, pytamy, czy to, co wydarzyło się w finałowym meczu z Rakowem, jest spełnieniem marzeń.

Czekał całe życie

– Tak – mówi bez zastanowienia. – Jak już wiedziałem, że jesteśmy w finale, to żonie powiedziałem, że szykuje się dla mnie najważniejszy mecz w życiu. Tak do tego podchodziłem, tak było i tak jest – zaznacza.

W drużynie Górnika jest spora grupa piłkarzy, która ma już – szczególnie jeżeli chodzi o krajowe puchary – sporo trofeów. Licząc z sobotnim Pucharem Polski, trener Michal Gasparik ma już cztery triumfy, trzy ze Spartakiem Trnava i teraz w Zabrzu. Lukas Podolski? Jeszcze lepiej. Na koncie mistrza świata z 2014 są Puchar Niemiec z Bayerem, Puchar Anglii z Arse-



Rafał Janicki w ekstraklasie zbierał ponad 400 meczów, ale dopiero w miniony weekend osiągnął największy sukces.

nalem, Puchar Turcji z Galatasaray, Puchar Cesarza w Japonii z Vissel Kobe, no i być może teraz, na zakończenie jego przebogatej kariery, najważniejszy puchar z Górnikiem. Pucharowe zwycięstwa w swoich krajach święcili też Erik Janža oraz Lukas Sadilek.

Jednak jest grupa zawodników, jak Rafał Janicki

czy 36-letni Paweł Olkowski, która w swojej bogatej karierze jeszcze nic nie wygrała. Tak było do soboty!

Nic dziwnego, że jak trzeba było, to kierujący drużyną 33-letni Rafał Janicki brał wszystko w karby i opieprzał kolegów, kiedy zawali. Tak było w drugiej połowie, kiedy w dobrej sytuacji znalazł się Jonatan

Brunes. – Trzeba czasami w ten sposób zareagować, krzyknąć, powiedzieć coś mocniejszego, bo to akurat była taka prosta sytuacja, gdzie ustawieniem, reakcją można było zapobiec zagrożeniu – tłumaczy.

Zaraz po meczu Janicki nie mógł od razu świętować z kolegami, bo został wylosowany do kontroli anty-

dopingowej. Kiedy godzinę po spotkaniu pojawił się w mix zonie, żeby porozmawiać z dziennikarzami, dalej miał w ręce swój dowód osobisty.

Co ma być, to będzie

Na razie w Zabrzu wszyscy cieszą i wspominają piękny pucharowy dzień w Warszawie. – Kiedy to wszystko zaczynało się przed sezonem, latem na obozie w Austrii, nikt nie myślał, że pójdziemy w tę stronę. Przyszedł przecież nowy sztab trenerski, odeszło kilkunastu zawodników, a tyłu samo przyszło na ich miejsce. Nikt nie myślał, że będzie tak, jak jest teraz. Szybko jednak przyswoiliśmy wszystkie pomysły trenera Gasparika, ale przy tylu zmianach, żaden z nas nie spodziewał się pewnie, że tak szybko i dobrze pójdzie i w lidze, i w Pucharze Polski. Fajnie się to na razie kończy, ale po takim meczu jak ten z Rakowem na Stadionie Narodowym, człowiek chce jeszcze więcej – podkreśla lider formacji obronnej Górnika, jeden z najlepszych defensorów w ekstraklasie w sezonie 2025/26.

Janicki ma w dorobku wspomniane 407 eks-

traklasowych gier. Przed przyjściem do Górnika przez lata występował w Lechii, a potem także w Lechu (grał tam w europejskich pucharach), Wiśle Kraków i krótko, bo pół roku, w Podbeskidziu. W Górniku osiągnął swój futbolowy szczyt.

– Nie mnie to oceniać. Na boisku pokazuję w Górniku, że dobrze się tutaj czuję, że mam wsparcie i za to się odwdzięcam – podkreśla. W Zabrzu już powoli mogą myśleć o europejskich pucharach. Na razie mają zapewnioną trzecią rundę eliminacji Ligi Europy, gdzie już jest LASK Linz, a wśród potencjalnych rywali może być i słynny Celtic. – Śmiałyśmy się przy obiedzie na same nazwy klubów, z którymi może przyjdzie nam zagrać. Co ma być, to będzie. Jak będziemy w Lidze Europy, to przechodząc jednego rywala, możemy być w Lidze Konferencji. Na pewno trener Gasparik ma na to jakiś pomysł, do brze nas przygotowuje, a nawet jak będzie mocniejszy rywal, to będziemy w stanie taktycznie powalczyć – mówi jeden z najbardziej doświadczonych piłkarzy w ekstraklasie.

Michał Zichlarz

W blasku świątyni

Rozmowa z **Grzegorzem Mielcarskim**, byłym reprezentantem Polski i napastnikiem m.in. Górnika Zabrze, srebrnym medalistą olimpijskim z Barcelony z 1992 roku, obecnie piłkarskim ekspertem TVP

Ostatni sukces, jaki osiągnął Górnik – przed sobotnim w Pucharze Polski w stolicy – to pana czasy w tym klubie i sezon 1993/94. Wówczas po skandalicznym meczu zremisowaliście z Legią Warszawa i zamiast mistrzostwa zajęliście trzecie miejsce... Sukces w końcu jednak nadszedł.

– Po 54 latach Górnik znowu jest zdobywcą Pucharu Polski. Górnik znowu pisze historię naznaczoną trofeami. Mistrzostwo zdobył ostatni raz 38 lat temu. Jak na taki klub, to dość długo nie było sukcesów, natomiast pamiętam, jak było w ostatnich latach, gdy Górnik bardziej skupiał się na dokończeniu budowy stadionu, niż na wydawaniu na transfery. Jak widzimy jednak teraz, wszystkie klocki udało się poukładać, jest puchar, a dodatkowo drużyna jest dalej w walce o to drugie najważniejsze trofeum, czyli o mistrzostwo Polski. To

moment, w którym być może pojawią się jeszcze większe pieniądze, o które tak przecież trudno, a bez których ciężko o wyniki. Dzięki temu Górnik w najbliższych latach będzie jeszcze mocniejszy, niż jest teraz.

Proszę powiedzieć, jak ocenili pan mecz na Narodowym i wygraną zespołu trenera Michała Gasparika 2:0 z Rakowem?

– Przez pierwsze 15-20 minut Górnik wchodził w mecz spokojnie, wydawało się, że Raków ma wszystko pod kontrolą. Nic jednak z tej kontroli nie wynikało. Z kolei Zabranie, kiedy poczuli, że rywal nie jest tak mocny i dobrze dysponowany, sami zaczęli przejmować kontrolę przez ciężką walkę, doskoki, odbiory, przerywanie akcji w zarodku, niepozwalanie przeciwnikowi na budowanie akcji. To sprawiło, że piłkarze Rakowa stracili pewność siebie. Z kolei Gór-



Grzegorz Mielcarski podczas niedawnej Galacticos Show w Chorzowie.

nik zyskiwał i tak naprawdę w pierwszej akcji Zabran gola zdobył Roberto Massimo. To pozwoliło im uwierzyć, że mogą wygrać. Zresztą, proszę spojrzeć na statystyki wzajemnych gier w tym sezonie: 1:0, 3:1 i teraz 2:0, czyli trzy wygrane Górnika i tylko jedna stracona bramka. W ogóle zespół w ostatnich meczach nie traci bramek.

Na co trzeba zwrócić uwagę w jedenastce zdobywcy Pucharu Polski? Co się pa-

nu w grze Górnika podoba? Co jest jego siłą?

– Siłą jest zespół. Tutaj nie mamy napisanej historii pod jednego zawodnika, choćby pod Lukasa Podolskiego. Wydawało się, że nawet gdy będzie w słabszej dyspozycji, to będzie występował. Jak widzimy, trener Gasparik postawił konkretne warunki, są dotrzymywane honorowo przez każdego piłkarza, bo liczy się cel, który został zrealizowany i Górnik może się cieszyć w Pucharu Polski. Siła tkwi

w drużynie. Po takich piłkarskich jak Hellebrand, Chłań czy Janicki widać, że każdy z zespołu Górnika ma pracę do wykonania i tylko to się dla nich liczy.

Pan zdobył w swojej karierze krajowy puchar z FC Porto w Portugalii w 1998 roku. Co dla piłkarza znaczy zdobycie takiego trofeum?

– Mówiłem o tym w transmisji z finałowego meczu, który komentowaliśmy z Mateuszem Borkiem. Kiedy trafiłem do Górnika (było to latem 1993 roku – przyp. red.), to jeszcze nie do końca zdawałem sobie sprawę z tradycji, historii. Jednak kiedy pan Bolek Niesyto, ówczesny rzecznik prasowy, kazał mi przed wejściem do klubu ściągnąć buty, mówiąc, że wchodzi do świątyni, to coś to znaczyło. Teraz w Warszawie widziałem, jak ważny był dla kibiców Puchar Polski, to, że trofeum podniósł pan

Staszek Oślizło... Nie miałem okazji do zdobywania trofeów z Górnikiem, ale miałem okazję do pracy i spotkania takich ludzi, jak pan Oślizło, jak rzecznik Niesyto, jak słyszenie dzwonka pana Stasia Sętkowskiego, którego dźwięk na Narodowym też przecież słyszeliśmy. Mateusz Borek wspominał też o byłym dyrektorze sportowym Krzysku Maju, który pewnie tam z góry spoglądał na mecz finałowy. To świadczy o tym, że świątynia w Zabrzu odzyskuje blask kolejnym pucharem.

Czy Górnik po tym, jak dostanie się w ręce Lukasa Podolskiego – a dostanie, bo tak zapewnia prezydent miasta Kamil Żbikowski – może nawiązać do sukcesów sprzed lat?

– Trudno powiedzieć. Ja mogę Górnikowi życzyć tylko jak najlepiej!

Rozmawiał w Warszawie
Michał Zichlarz

Dlaczego Tomczyk musiał odejść?

To pytanie od niedzielnego wieczora zadają sobie piłkarscy kibice nie tylko pod Jasną Górą. Jak ustaliliśmy, na podjęcie tak radykalnych kroków w Rakowie zanosilo się od dawna.

RAKÓW CZĘSTOCHOWA

W klubie z Częstochowy ostateczną i nieodwołalną decyzję zawsze na końcu podejmuje właściciel Michał Świerczewski. Jednak rzadko kiedy czyni to bez szerszej dyskusji, analizy i konsultacji z najbliższymi współpracownikami. Zwolnienie Łukasza Tomczyka na zakończenie majówki może wyglądać na decyzję emocjonalną, dyktatorską i jednoosobową, ale po zajrzeniu za kulisy – sprawa jest bardziej złożona.

Piłkarskie Hollywood

Projektowi trenera Tomczyka w Rakowie od początku wszyscy bardzo mocno kibicowali. Trzeba byłoby zresztą być bezdusznym i pozbawionym empatii człowiekiem, by podchodzić do niego inaczej, bo była to jedna z tych romantycznych historii futbolu. Człowiek z bardzo trudną przeszłością, z domu dziecka, który swoim uporem i ciężką pracą piął się po kolejnych szczeblach kariery. Jeszcze pięć lat temu prowadził A-klasową Victorię Częstochowa, potem był asystentem w Resovii, analitykiem w GKS-ie Katowice. Szerzej, ale też jeszcze niespecjalnie szeroko dał się poznać dopiero w Polonii Bytom, z którą awansował do I ligi, a po rundzie jesiennej jako beniaminek zostawił Królową Śląska na drugim, dającym bezpośredni awans do ekstraklasy, miejscu! Piękna historia, prawda?



Misja Łukasza Tomczyka w Częstochowie nie doczekała się happy endu...

Niedociągnięcia były

Rakowowi nie mógł odmówić, to była jedna z tych szans na milion. Szło mu raczej słabo, ale przed sobotnim finałem Pucharu Polski nikt w klubie nie zakładał, że następnego dnia dojdzie do pożegnania. Wcześniej były jednak rozmowy o tym, że ten projekt może się nie udać. Zastrzeżenia były co do doboru taktyki oraz za-

wodników na konkretne spotkania, ale to wydawało się do poprawienia i wypracowania. Największy problem stanowiło to, że trener, który nigdy wcześniej nie pracował w ekstraklasie, „bał się” szatni z Brautem Bruneselem, Ivim Lopezem czy Zoranem Arseniciem. Zapanował w niej chaos i bałagan, nad którym 37-latek nie potrafił zapanować. W Rako-

wie już w grudniu, gdy okazało się, że Marek Papszun odejdzie do Legii, stanowiło to największą obawę zarówno osób zarządzających klubem, jak i kibiców. Jak się okazało – całkiem słusznie.

Sytuacja, w której piłkarze rządzą i wchodzi trenerowi na głowę, była nie do zaakceptowania. Tym bardziej że Tomczyk w żaden sposób nie potrafił sobie

z nią poradzić. Co jeszcze gorsze i ostatecznie przesądające o rozstaniu na cztery mecze przed końcem sezonu, brakowało mu autorefleksji nad tym rozgardiaszem. Na uwagi zarządu albo nie chciał, albo nie potrafił zareagować. Bałagan w szatni miał być tak duży, że nie tylko właściciel miał dojść do ostatecznego wniosku, że długofalowo to nie może się udać.

Burza mózgów

W klubie po przegranym w fatalnym stylu finale Pucharu Polski (0:2 z Górnikiem, jeden celny strzał w meczu) zrobiono burzę mózgów. W Rakowie występ w europejskich pucharach jest bowiem traktowany absolutnie priorytetowo. Dodatkowo Częstochowianie nie chcą tym razem zaczynać od II rundy eliminacji Ligi Konferencji, co będzie przysługiwać czwartej oraz (na 99,9 procent) piątej drużynie ekstraklasy. Celem jest trzecie miejsce, które przy wicemistrzostwie Polski dla Górnika Zabrze da III rundę eliminacji Ligi Europy. Przy Limanowskiego po cichu wciąż wierzą, że realnie jest jeszcze obronienie wicemistrzostwa i gra o Ligę Mistrzów.

Końcówka ligi dla Rakowa jest niezwykle dynamiczna. Możliwe, że gdyby pięć dni po piątkowym meczu z Koroną (8.05.) Raków nie grał arcyważnego meczu z Jagiellonią, Tomczyk zachowałby posadę do końca sezonu.

Krocze tylko na chwilę?

Świerczewski był jednak zdeterminowany, żeby dać drużynie nowy impuls. Argumentem „za” było również posiadanie na kontrakcie w klubie Dawida Krocza, który charakterologicznie jest przeciwieństwem Tomczyka i ma za zadanie „chwycić piłkarzy za pysk”. Opcja wzięcia kogoś „na szybko” z zewnątrz w ogóle nie była rozpatrywana. Krocze został poinformowany o tym, że poprowadzi drużynę tylko do końca sezonu, ale – jak to często w piłce bywa – niczego w tym momencie nie można wykluczyć. Jeśli bowiem będzie w stanie odmienić drużynę, wygra wszystkie mecze do końca i zajmie drugie miejsce, to może się okazać, że tymczasowa „fucha” stanie się dla niego stałym zajęciem.

W momencie zwolnienia pojawiła się oczywiście giełda nazwisk, kto miałby poprowadzić drużynę w nowym sezonie. Mariusz Misiura, Maciej Skorża czy Lubos Kozel najczęściej wymieniani są w dziennikarskich spekulacjach, ale w tym momencie żaden z nich nie jest blisko Częstochowy. Najbliżej? Na ten moment Dawid Szwarga, który niedawno był widziany jako gość treningu Legii Warszawa prowadzonej przez Marka Papszuna. Ten wariant w Częstochowie jednak już przerabiali...

Mariusz Rajek

Przyszedł i odejdzie kontuzjowany?

LECH POZNAŃ

Po sobotnim meczu z Motorem, w którym Irańczyk opuścił boisko na noszach, kibice mistrza Polski mieli nadzieję, że uraz okaże się niegroźny. Poniedziałkowy komunikat rozwiął wszelkie wątpliwości – Ali Gholizadeh zerwał więzadła krzyżowe przednie w kolanie. Czekają go operacja i długa przerwa w grze, która uniemożliwi udział w mistrzostwach świata. To jednak nie jest jedyny kłopot...

Lider ze szkła

30-latek jest powtarzalny nie tylko w świetnych występach, ale także w wypadaniu z gry przez kontuzje. Nie ma wątpliwości, że zdrowy Gholizadeh jest jednym z najlepszych, a być może aktualnie nawet najlepszym za-

wodnikiem w ekstraklasie, a gra Lecha często spada właśnie na jego barki. Jednak jego zdrowie jest strasznie kruche. Wystarczy przypomnieć, że Irańczyk do Kolejorza dołączył... kontuzjowany. Władze klubu zdawały sobie sprawę, że będą musiały poczekać, ale zaryzykowały, bo widziały w nim sporo jakości. Skrzydłowy rehabilitował się po zerwaniu łąkotki i na polskich boiskach zadebiutował dopiero po ponad trzech miesiącach (w październiku 2023 r.) od transferu. To był dopiero początek problemów.

Tuż przed końcem tamtego sezonu, w kwietniu 2024 r., Gholizadeh ponownie miał problemy z łąkotką. W efekcie stracił końcówkę rozgrywek, wrócił w lipcu i pomógł drużynie w zdobyciu mistrzostwa. W sezonie 2024/25 Irańczyk nie opuścił ani jednego

spotkania przez kontuzje i udowodnił, że grać potrafi (osiem goli i sześć asyst). Natomiast obecne problemy wiążą się z kolejnymi problemami. W sierpniu zerwał więzadła i do gry powrócił dopiero w listopadzie. Teraz diagnoza jest jeszcze gorsza, a rehabilitacja potrwa długie miesiące.

Nie licząc trzech spotkań, które zostały do końca rozgrywek, 30-latek przez urazy opuścił aż 43 mecze w barwach Kolejorza, a zagrał w 75, w których strzelił 14 goli i zaliczył 10 asyst. Na tym licznik być może się zatrzyma, ponieważ kontrakt piłkarza wygasa wraz z końcem czerwca.

Jak się zachować?

I właśnie umowa jest przedmiotem dyskusji w ostatnich dniach. Miała być ona negocjo-

wana, mistrz Polski zaproponował roczny kontrakt (z powodu obaw o zdrowie), ale Gholizadeh poprosił o czas na zastanowienie się, ponieważ miał mieć oferty z krajów, które są położone bliżej jego ojczyzny. Nie jest sekretem, że toczą się rozmowy. Mam nadzieję, że zostanie w Lechu. Pokazuje świetny poziom, prawdopodobnie najlepszy od momentu, gdy tu jestem. Bardzo chciałbym, żeby został – mówić pod koniec kwietnia trener Niels Frederiksen na antenie Canal+ Sport.

Teraz wszystko jest już nieaktualne. Według mediów poznański klub w obecnej sytuacji nie podpisze nowej umowy z Irańczykiem, a mecz z Motorem był jego ostatnim w niebiesko-białych barwach. Wśród kibiców powstały dwa obozy. Jeden opo-

Ali Gholizadeh zerwał więzadła i być może tym zakończy swoją przygodę w Lechu.



Widok zwijającego się z bólu Irańczyka nie był przyjemny.

wiada się z tym, żeby nie podpisywać umowy, a głównym argumentem jest zdrowie piłkarza i patrzeć długofalowo. Drugi zaś domaga się symbolicznego przedłużenia, żeby okazać wsparcie piłkarzowi, który wielokrotnie sprawiał radość kibicom i w miarę pomagał zespołowi.

Klub na pewno nie zostawi Gholizadeha samego, bo ma pokryć koszty operacji i leczenia. Niemniej taka sytuacja jest mało komfortowa dla władz Kolejorza, a wyjaśni się ona w najbliższym czasie.

Miłosz Cebo

Wreszcie mogę pograć z Ignasiem!

Rozmowa z **Radostawem Murawskim**, zawodnikiem Lecha, który wrócił po roku na ligowe boiska

Jaki był to rok w pańskim sportowym życiu?

- Najtrudniejszy, pełen różnych momentów, wahań nastrojów, emocji. Ciężki dla mnie okres, jeśli chodzi o karierę.

Po meczu z Legią podziękował pan przed kamerą najbliższymi.

- Musieli mieć stalowe nerwy ze mną, bo bywało różnie. Taka emocjonalna huśtawka. Były momenty lepsze i gorsze, chwile łatwiejsze i trudniejsze, w zależności od odczuć bólowych. Dyspozycja dnia i moje samopoczucie miały ogromny wpływ na to, w jakim byłam humorze. A najbliżsi po prostu... musieli znosić moje humory. Dzisiaj jestem na etapie powrotu do piłki również dlatego, że nigdy nie zwątpili we mnie i wspierali mnie cały czas. Nie pozwolili nawet przez sekundę pomyśleć, że to może być koniec przygody z piłką, a takie myśli przychodziły mi do głowy, bo jak trzy razy już jesteś blisko treningu z drużyną i znów coś cię zaczyna boleć, przeszkadzać, to jednak zastanawiasz się i pytasz samego siebie, czy faktycznie to już jest koniec? Czy jestem w stanie jeszcze wrócić do normalnych treningów i wskoczyć na najwyższe obroty? Miałem - nie ukrywam - momenty poważnego zwątpienia, ale z dużą pomocą wszystkich dookoła udało mi się z tego wyjść.

No to proszę przybliżyć tych domowych bohaterów, dzięki którym futbol „odzyskał” Radostawa Murawskiego.

- Żona Klaudia, sześciopółletnia Michalinka, czteroipółletni Ignas, dwuipółletnia Antosia.

Dzieciaki w tym wieku pewnie nawet nie wiedziały, co się z tatą dzieje, że bywa taki marudny...

- Właśnie (śmiech). Niby trochę wiedziały - kiedy po operacji musiałem okładać nogę lodem, często przychodziły i mi w tym pomagały. Chuchały, dmuchały, dbały o tatę... Oczywiście nie mogły w pełni rozumieć powagi sytuacji, a mnie najbardziej bolało, że nie byłem w stanie podjąć żadnej aktywności fizycznej z nimi. Pamiętam moment, w którym Ignas przyszedł i zapytał: „Pokopimy dzisiaj?”. A tobie serce się kraje, bo wiesz, że nie możesz jeszcze kopać i musisz mu to powiedzieć... „W porządku, tato, nic się nie stało” - odpowiedział, ale widziałem, jaki był smutny z tego powodu. W ta-

kich właśnie trudnych momentach, kiedy ledwo się ruszałem, obiecałem sobie, że się nie poddam, że będę walczył, że zrobię wszystko, żeby być aktywnym właśnie dla moich dzieci. By móc być aktywnym tatą, kiedy następnym razem Ignas będzie chciał pokopać, a córki - poskakać na trampolinie albo na rowerze pojeździć.

Dokładnie rok bez jednego dnia boiska nie widziały „Murasia”. Co więc działo się od momentu, gdy 27 kwietnia 2025 zagrał pan przeciwko Radomiakowi. To wtedy zaczęło się wszystko, co złe?

- Nie. Wszystko zaczęło się w marcu tamtego roku. Dopadły mnie bóle przywodziciela. Walczyliśmy z nimi zachowawczo, żeby uniknąć operacji. Przeciwko Radomiakowi tak naprawdę miałem w ogóle nie grać, bo nie byłem gotowy. Pojechałem tylko na ławkę, natomiast trener wpuszczał mnie na boisko i wtedy mój stan się pogorszył.

Ma pan żal do trenera o tę zmianę?

- W żadnym wypadku. Jestem dorosłym człowiekiem. Trener zapowiedział, że bierze mnie tylko na ławkę, ale dałem mu zielone światło, że jeśli będzie mnie potrzebował, to - niezależnie od tego, czy mnie będzie bolało, czy będę musiał na tabletkach grać - jestem do jego dyspozycji.

Sześć dni wcześniej zagrał pan kwadrans przeciwko Cracovii. Też mimo niekomfortowego samopoczucia?

- Owszem. Wtedy jeszcze nieco inaczej podchodziłem do tematu zdrowia. De facto całą moją karierę grałem z różnymi bólami i zawsze potrafiłem tym zarządzać, kontrolować wszystko. Więc i wtedy odezwał się mój charakter i - chyba chora... - ambicja.

Co było po tamtych kwietniowych meczach?

- Kolejne leczenie zachowawcze, aż do wakacji. Czułem się komfortowo w bieganiu, w ćwiczeniach siłowych; natomiast zajęcia z piłką to zupełnie inna bajka. Kiedy na czerwcowym obozie wróciłem do treningu z piłką, zupełnie rozwaliłem przywodziciela. W tym momencie operacja była już konieczna.



Czteropółletni Ignas już wie, że najważniejszy jest tata. Zaraz potem piłka. No i jeszcze Lech!

I załatwione?

- No właśnie nie. Rehabilitacja trwała 3,5 miesiąca; byłem już na etapie, w którym mogłem indywidualnie robić duże rzeczy. Lewa strona - bo miałem robione oba przywodziciele - się zagoiła, ale prawa noga od czasu do czasu pobolewała. Próbowałem zwalczyć to w głowie, nauczyłem się z tym funkcjonować, ale nie dało rady, a podczas rekonwalescencji wyszło, że potrzebna jest jeszcze jedna operacja.

Pomogło?

- Rehabilitacja wydłużała się. Były momenty, kiedy można było trochę mocniej popracować, ale i takie, kiedy musiałem zwolnić, bo jednak bolało. Niby miało być dobrze, ale podczas wejścia w trening zacząłem czuć dolny mięsień brzucha i spojenie łonowe. Konieczne okazało się pobranie szpiku i zastrzyk do stawu, żeby się szybciej goiło. No i dopiero teraz tak naprawdę czuję się komfortowo i mogę powiedzieć, że trenuję na 100 procent, a kwadrans w meczu z Legią był zwieńczeniem tej ciężkiej, mozolnej pracy. Miałem jeszcze nie być brany pod uwagę na to spotkanie, bo trenerzy przygotowania motorycznego mówili, że przydałyby się z dwie-trzy jednostki pełne, z drużyną. Ale trener Niels Frederiksen przyszedł do mnie w przeddzień meczu i powiedział, że wie, iż jeszcze

fizycznie nie jestem gotowy nawet na 30 minut, ale chciałby mnie wziąć na ławkę, żebym znowu poczuł te emocje i żebym był gotowy na to, że może mnie wpuszcą na 15 minut.

I stało się!

- Stało się! Na dodatek w takim fajnym meczu! Powrót w takim momencie to fantastyczny happy end tej przykrych generalnie przygody. Swoją drogą - bardzo wiele mnie ona nauczyła.

Czego na przykład?

- Już wiem, że czasami lepiej odpuścić jeden trening bądź mecz, aniżeli pchać na siłę. Wiele głupich rzeczy zrobiłem w życiu. W 2022, w ostatnim meczu sezonu, przeciwko Zagłębiu Lubin, zagrałem ze skróconym stawem skokowym! Dzięki pracy fizjoterapeutów, tabletkom znieczulającej, tejpom i wielu innym zabiegom - wybiegłem na boisko. Zupełnie niepotrzebne, bo mistrzostwo już było. Czysta głupota, ale wtedy na szczęście nic poważnego się nie wydarzyło. Teraz życie mi pokazało, że czasem nie warto stawiać wszystkiego na jedną kartę: przez rok w piłkę nie grałem. Myślę, że jestem już bardziej dojrzały i jeszcze więcej pokory mam do pewnych rzeczy.

Wstrząsające jest pańskie wyzwanie: bałem się, że to koniec grania...

- Były takie chwile... Na przykład wtedy, gdy przez tydzień się nie mogłem ruszyć z kanapy. Wszystko bym wtedy dał za to, by móc się z niej podnieść bez bólu, choćby tylko do pozycji siedzącej. No i przeszkadzało mi, jak bardzo byłem uzależniony od najbliższych. Musieli skakać wokół mnie, pomagać w najprostszyc rzeczach, bo sam o siebie nie byłem w stanie zadbać. Poza tym, kiedy masz trzy podejścia do powrotu do drużyny, a coś zawsze się na ostatniej prostej wywala, to myśli w głowie są bardzo różne. Dobrze się stało, że zacząłem wtedy korzystać - i trwa to do dziś - z pomocy psychologa, pani Pauliny Jurgi. Dzięki temu powrót do rzeczywistości okazał się łatwiejszy. Psycholog pomaga spojrzeć na pewne rzeczy z boku. Jedyne, czego dziś żałuję, to fakt, że tak późno sięgnąłem po tę pomoc.

Coraz więcej sportowców docenia taką właśnie współpracę...

- I słusznie! Najtrudniejsza jest natomiast decyzja, by taką współpracę podjąć. Boimy się, że inni pomyślą o nas, że skoro współpracujemy z psychologiem, to znaczy, że mamy „nierówno pod sufitem”. Natomiast prawda jest taka, że to jest właśnie oznaka dojrzałości! Nie można zostawać samemu z problemami. Nawet jeżeli radzisz sobie z nimi na

początku, im dalej w las, tym jest coraz ciężej.

Przechodząc rehabilitację, bywał pan na meczach Lecha?

- Bywałem, bo nie wyobrażałem sobie nie być. Przez miesiąc, dwa, trzy po operacji mocno przeżywałem każdy z nich. Z upływem czasu te emocje były jednak coraz mniejsze; zacierało się we mnie wspomnienie tego, na co tak długo pracowałem. Jakbym trochę wiarę w powrót tracił... Kiedy w końcu okazało się, że do tego powrotu jednak jestem coraz bliżej, znowu zacząłem czuć piłkę i czuć drużynę, emocje chłopaków. A teraz chęć gry jest taka, jakbym dopiero rozpoczął karierę, jakbym dopiero zadebiutował w lidze. I to jest fantastyczne! Mam nadzieję i wierzę w to głęboko, że najgorsze mam za sobą i że to, iż „się naprawiłem”, spowoduje jeszcze kilka ładnych lat grania.

Zapytam nieco wyzywająco: szukuje się pan już na mistrzowską fetę w Poznaniu?

- Nie. Super historię mojej kariery patrzę już inaczej na życie i na karierę: żyję po prostu każdym dniem. Kiedy obudziłem się dzień po meczu, pierwsza myśl była taka: „Zmęczony jestem, ale - kurde - nic nie boli. Wow, super; cieszę się bardzo”. Tak wchodzi w każdy kolejny dzień, a generalnie: naprawdę fajnie, że drużyna - mimo trudnego sezonu - jest na pierwszym miejscu. Zasłużenie, moim zdaniem, bo jakość mamy ogromną. Natomiast przed nami jeszcze trzy mecze i musimy udowodnić przede wszystkim sobie, że fotel lidera to nie przypadek.

No to na koniec: poszedł pan już pokopać piłkę z Ignasiem?

- Gramy regularnie, nie ma zmiłuj! A dwa razy w tygodniu jestem z nim na treningu.

Trenuje w klubie???

- Tak, w takiej „akademii przed-szkolaka” w Lechu (śmiech). Nie miał jeszcze trzech lat, gdy zaczął chodzić na grupę ogólnorozwojową. Teraz ma już coraz więcej zajęć z piłką i widzę, że te ćwiczenia sprawiają mu wielką radość, a mnie - tym bardziej!

Rozmawiał
Dariusz Leśnikowski

Dobry minister, słaby rząd

Cracovia ma najwięcej meczów bez straconego gola, a wciąż jest zagrożona pozeganiem z ekstraklasą.

CRACOVIA

To duży paradoks obecnego sezonu. Inni czołowi bramkarze głównie występują w drużynach walczących o dużo wyższe cele.

Madejski, Mrozek, Burić

Gdyby przenieść sytuację Cracovii w świat polityki, moglibyśmy spuentować ją zdaniem, że Krakowianie mają co najmniej dobrego ministra (obrony), ale słaby rząd. A jak wiadomo – jeden piłkarz może wygrać mecz lub dwa, a końcowy sukces lub porażka jest wypadkową postawy całej kadry w ciągu dziesięciu miesięcy rozgrywek. Cracovia nie straciła goli w 13 meczach i jako jedyna drużyna kończyła bez straty ponad 40 proc. zmagania – dokładnie 42 proc – i nie zmienia tego zaległe spotkania. Sebastian Madejski zachował, który grał 27 razy, zachował dla Pasów 12 „czystych kont”. Jeden mecz na zero z tyłu na początku sezonu zaliczył także Henrich Ravas. Za Madejskim są Bartosz Mrozek z Lecha Poznań (10 w 30 meczach) i Jasmin Burić (9 w 21).

Wyczyny Stipicy i Kovacevicia

W klasyfikacji drużynowej za mecze z czystym kontem w szerszej czołówce już bardziej mieszają się przedstawiciele zespołów walczących o medale i być albo nie być w elicie. Za Cracovią jest zmierzający po 10. mistrzowski tytuł Lech, ale tyle samo spotkań bez straty bramki ma znajdujący się w dużo gorszej sytuacji od Krakowian Widzew Łódź. Taki sam wynik osiągnęli też Zagłębie. Od pandemii (sezon 2019/20) nie zdarzyło się, by spadła drużyna, której bramkarze czy bramkarze są w czołówce. W kampanii 2020/21 fenomenalnie bronił Dante Stipica z Pogoni Szczecin – Chorwat zaliczył 30 meczów, w aż 17 z nich nie puścił gola, a jego drużyna zakończyła ligowe zmagania na trzecim miejscu. Rok później w procentach przebił go Bošnjak Vladan Kovacević, mistrz Pol-

ski z Rakowem Częstochowa – aż 16 z 28 spotkań bez straconego gola.

Ratował zespół

Po zmianie na ławce Cracovia wzbogaciła się o dwa punkty, które na razie nie sprawiły, by sytuacja w tabeli zrobiła się komfortowa. Ale po wybrzmieniu ostatniego gwiazdka w sezonie te zdobycze mogą się okazać bezcenne. Przeciwno Portowcom remis w doliczonym czasie uratował napastnik Kehveh Zahiroleslam, a z Lubina Krakowianie nie wyjechali na tarczy dzięki bramkarzowi. Grając w liczebnej przewadze przez dwie trzecie meczu, nie potrafili pokonać Jasmina Burića, a Madejski miał co robić. – Uratował nas kilka razy, trzeba to sobie szczerze powiedzieć – nie krył trener Bartosz Grzelak. Podkreślał on, że w końcówce sezonu – gdy trzeba grać pod dużą presją – ważne jest posiadanie bramkarza, który potrafi mieć korzystny wpływ na zespół. – Dobrze, że Madejski ma taką wiarę w siebie, bo były sytuacje w polu karnym. Bardzo dobrze się zachował. Zrobił to, co mógł zrobić.

Brakuje wiary

Choć Madejski na wiosnę nie jest bezbłędny (gol w Zabrzu na 1:0 to w 90 proc. jego wina), ma dość mocną psychikę i szybko potrafi się pozbierać. Gorzej mentalnie wyglądają pozostali piłkarze Pasów. Nowy trener uważa, że zespołowi brakuje wiary w polu karnym przeciwnika. Ma kolejny tydzień, by nad tym popracować. Kolejne spotkanie Cracovia rozegra dopiero 11 maja u siebie z Radomiakiem Radom. Rywal wygrał trzy ostatnie mecze i niemal na dobre wyłączył się z walki o uniknięcie spadku. W poniedziałek będą to mogli zrobić gospodarze. Do składu po pauzie za osiem kartek wróci Oskar Wójcik i to dobra informacja. Zastępujący go w Lubinie Brahim Traore zaliczył występ poniżej krytyki i został zmieniony już w przerwie.

Michał Knura



Sebastian Madejski (w środku) robi, co może, by utrzymać Pasy w ekstraklasie.



Momenty ekscytacji są nieliczne; z reguły Wojciech Mróz dość spokojnie i analitycznie obserwuje poczynania podopiecznych na murawie.

Posada za awans

Z Bytomia popłynęły wyrazy wsparcia dla Łukasza Tomczyka, który został zwolniony z Rakowa. – To nie moment, by rozmawiać o jego ewentualnym powrocie do nas – mówi jednak dyrektor beniaminka. Zresztą Polonia nie musi w tej chwili rozpaczliwie szukać trenera, bo Wojciech Mróz wygrywa!

POLONIA BYTOM

Przy Piłkarskiej znaleziono w końcu lekarstwo na wiosenne zmęczenie piłkarzy wicemistrza pierwszoligowej jesieni. Zawodnicy Polonii przed trybuną „ultrasów” wyjątkowo długo fetowali poniedziałkową wygraną ze stołeczną imienniczką. I trudno się temu dziwić: to było pierwsze w tym roku (!) zwycięstwo przed swoją publiką.

Powrót do marzeń

Mecz dwóch Polonii odbywał się w Bytomiu niejako „w cieniu” wcześniejszej informacji o rozstaniu Łukasza Tomczyka – współtwórcy awansu Bytomian do pierwszej ligi – z Rakowem. Nic dziwnego, że wiele osób na stadionie – również w gronie byłych polonistów, jak zwykle tłumnie obserwujących występ następców – zadawało sobie pytanie o przyszłość... Wojciecha Mroza. Kilka tygodni temu zastąpił on Patryka Czubaka, którego przygoda z Polonią okazała się nieudana (sześć gier, bez zwycięstwa). I choć początki też miał niekoniecznie skuteczne, dwa ostatnie spotkania jego podopieczni wreszcie wygrali i... wró-

cili do marzeń o udziale w barażach o ekstraklasę. A to ważne dla szkoleniowca: co prawda nie ma jeszcze licencji UEFA PRO, ale jest dlań ścieżka umożliwiająca w nowym sezonie dalszą pracę w Bytomiu. To... awans do ekstraklasy. – Mówiąc przewrotnie, trener Mróz walczy o posadę. Regulacje PZPN pozwalają na dalszą pracę po ewentualnym awansie – mówił w poniedziałek dyrektor sportowy Polonii, Tomasz Stefankiewicz, przed kamerami TVP Sport.

Wiedza, wycucie, szczęście

Obecny opiekun zespołu w poniedziałek pokazał dobitnie, że wiedzy, wycucia i... szczęścia mu nie brak. Ładnych kilkanaście minut cierpliwie i bez emocji wysłuchiwał nawoływań z trybun do przeprowadzenia zmian w zespole. Zrobił je w końcu w momencie – jak się okazało – najważniejszym: to duet zmienników, którzy dostali od niego dziewięć minut, przeprowadził akcję na wagę wygranej. – To człowiek stąd, który podniósł ten zespół. Pracuje w klubie od wielu lat, łąpał warsztat pod okiem bardzo dobrych fachowców. Jego praca to kontynuacja myśli szkoleniowej klubu,

myśli Łukasza Tomczyka. Jasno mogę zadeklarować, że jeśli Polonia będzie grać w ekstraklasie, Wojciech Mróz zostanie trenerem – podkreślał Stefankiewicz.

Długa lista kursantów

Jeśli awansu nie będzie, Polonia zmuszona zostanie do zastąpienia Mroza posiadaczem licencji UEFA PRO, albo przynajmniej uczestnikiem uruchomionej właśnie edycji stosownego kursu w Szkole Trenerów PZPN. To ostatnie zastrzeżenie jest ważne, bo jego słuchaczami są m.in. Tomczyk, Czubak i Tomasz Kuźma (obecnie Podhale Nowy Targ), wskazujący przez dyrektora Polonii jako potencjalny kandydat na nowego trenera. Na liście uczestników kursu znajdziemy wszakże również nazwisko Macieja Patyka, który dziś pracuje w sztabie Polonii. Będą więc mieć Bytomianie „swojego” człowika ze stosownym „papierem” – w razie niepowodzenia rozmów z innymi trenerami. Duet Patyk – Mróz u steru? Kto wie...

Drzwi szeroko otwarte

A powrót Łukasza Tomczyka? W Bytomiu nie kryją, że byli i są z nim w stałym kontakcie. – Ale to nie jest dobry moment, żeby mówić o jego ponownym

zatrudnieniu w naszym klubie. Myślę, że potrzebuje on chwili wytchnienia i spokoju, choć oczywiście drzwi w Bytomiu nigdy nie zostały przed nim zamknięte – Tomasz Stefankiewicz zapewniał o wsparciu dla byłego już szkoleniowca Rakowa, i nie krył zdziwienia decyzją władz częstochowskiego klubu. Podobnie zresztą jak... Wojciech Mróz. – Wiedząc, ile energii, czasu i życia poświęca na piłkę trener Tomczyk, tak najzwyczajniej w świecie, po ludzku, jest mi przykro z tego powodu – komentował wieści płynące spod Jasnej Góry. I krótko odpowiadał „Tak!” na pytanie, czy wdziałby siebie w roli współpracownika tego szkoleniowca, gdyby tenże wrócił do Bytomia.

Trzy kroki do marzeń

Na razie jednak Mróz pracuje na swój osobisty rachunek. Przed jego zespołem jeszcze mecz z bliskim awansu Śląskiem Wrocław. To spotkanie przedzieli dwa wyjazdy do drużyn walczących o utrzymanie: Znicza i Stali Mielec. Ewentualne trzy zwycięstwa (a Polonia jesienią tych rywali pokonała) niespodziewanie może otworzyć Bytomianom drogę do baraży.

Dariusz Leśnikowski

Naprawdę spoko gość

Rozmowa z **Maxem Watsonem**, szwedzkim obrońcą Ruchu, pierwszym piłkarzem ze Skandynawii w historii chorzowskiego klubu

Wygrany 2:0 mecz z Odrą był pana drugim występem dla Ruchu. Jak pan go oceni?

– Myślę, że było okej. To nie było perfekcyjne spotkanie, ale zrobiliśmy wystarczająco dużo, aby wygrać. Zagraliśmy w prosty sposób i staraliśmy się robić proste rzeczy, ale tak, jak należy. Oczywiście, przeciwnicy mieli dwa czy trzy ataki, po których mogliśmy stracić gola, ale koniec końców w ciągu 90 minut byliśmy lepszą drużyną. Ale w futbolu bywa tak, że jedna bramka może zmienić wszystko, dlatego jesteśmy bardzo szczęśliwi, że udało nam się zachować czyste konto. Jeśli to robisz, masz ogromną szansę, by zdobyć przynajmniej punkt.

Jest pan tutaj już trzy miesiące, dlatego chciałem zadać panu trzy poziomowe pytanie, zaczynając od największego: o Polskę, o I ligę, o Ruch Chorzów. Więc po kolei – jak się panu tutaj żyje? Poza dwuletnim epizodem w Słowenii występował pan tylko w ojczyźnie.

– Przez te trzy miesiące, odkąd tu jestem, wszystko jest dobrze. Znalazłem bardzo fajne mieszkanie w Katowicach. Trochę też pozwiedzałem...

Widzi pan różnicę w mentalności tutejszych ludzi?

– Można powiedzieć, że ludzie w Szwecji podchodzą do wszystkiego z nieco większym dystansem. W Polsce wszyscy są dla mnie bardzo mili, natomiast u nas ludzie są trochę bardziej... wycofani.

Gdy myślimy o Szwedach, to kojarzą nam się chłodni ludzie, którzy się nie uśmiechają.

– No, trochę tak to wygląda (śmiej). Ale Polska jest naprawdę fajna. Jak wspominałem, gdy mieliśmy trochę wolnego, to co nieco pozwiedzałem. Byłem już w Krakowie, zobaczyłem Muzeum Auschwitz. Kiedy ma się okazję mieszkać w innych częściach Europy, to trzeba to wykorzystywać, żeby zobaczyć coś nowego.

To teraz liga.

– Na razie niestety nie za dużo sobie w niej pograłem (uśmiej). Ale oczywiście obserwuję. Jeśli miałbym porównać do ligi szwedzkiej (Watson przyszedł z Norrköping po spadku z tamtejszej ekstraklasy – przyp.

red.), to tempo jest trochę niższe. Nie miałem co prawda okazji grać z tutejszymi najsilniejszymi drużynami, ale te w Szwecji także były trochę lepsze, choć na pewno jest tutaj kilku dobrych zawodników z niezłymi umiejętnościami. Jest tu kilka pięknych stadionów i niesamowita baza kibicowska.

Inna niż w Szwecji?

– Tak, szczególnie, że to drugi szczebel rozgrywkowy. Coś świetnego.

Ruch gra na drugim co do wielkości stadionie w Polsce.

– Tak, słyszałem o tym. Dodatkowo jest tutaj znakomite boisko, świetna trawa do grania w piłkę. To mnie trochę zaskoczyło, chociaż słyszałem trochę o polskich kibicach i stadionach.

W Szwecji macie takie mecze, jak tutaj z Wisłą, na 53 tysiące osób?

– Jeśli gra się na Stadionie Narodowym z AIK (w Solnej, czyli tam, gdzie Polska przegrała baraże ze Szwecją – przyp. red.), to na prawie każdym meczu ten obiekt jest pełny. Pojemność jest podobna jak tutaj (50 tysięcy, choć w zeszłym sezonie średnia frekwencja wynosiła ok. 23 tys. – przyp. red.). Gdy gra się tam mecz, większość kibiców wspiera gospodarzy, natomiast na meczu z Wisłą publika była wymieszana. W Szwecji mecze największych drużyn przyciągają między 20 a 45

tysięcy, ale nie ma takich spotkań wiele. Czasami grasz na stadionie, gdzie jest 5 czy 6 tysięcy kibiców.

To ostatnia część pytania – o sam Ruch. Czego spodziewał się pan, zanim tutaj przyszedł, a co pan zastał? Oczekiwania kontra rzeczywistość.

– Przed transferem nie wiedziałem zbyt wiele o klubie. Kiedy pojawiło się zainteresowanie, poszukałem trochę informacji. Myślę, że mamy jakość i dobrych piłkarzy. Jeśli spojrzę się na wcześniejsze spotkanie (z Pogonią Grodzisk Mazowiecki, 2:2 – przyp. red.), powinniśmy wygrać dwoma, trzema... a może czterema czy pięcioma golami (uśmiej). Jakość tutaj jest. Najważniejsze jednak jest to, aby być dobrym przez dłuższy czas, aby pokazywać regularność. Jeśli idzie nam słabo, musimy jak najwyżęj podnosić sobie poprzeczkę. Bo jeśli osiągamy te cele, które są postawione wysoko, pokazujemy, że jesteśmy bardzo dobrym zespołem. Jeśli podniesiemy standard tych elementów, które wychodzą nam najłatwiej, możemy osiągnąć coś fajnego.

Wspomniał pan, że nie zagrał zbyt wiele meczów. Zadebiutował pan w Rzeszowie, wszyscy

57

OBCOKRAJOWCEM w historii Niebieskich został Watson. Jego kontrakt obowiązuje do końca sezonu i zawiera opcję przedłużenia.

byli ciekawi tego nowego Szweda. No ale na początku drugiej połowy obejrzał pan czerwoną kartkę. Kibice zaczęli się zastanawiać: „O Boże, kogo oni ściągnęli!”... – (śmiej)

... co może pan powiedzieć o tamtym spotkaniu?

– To była moja pierwsza czerwona kartka w seniorskim futbolu!

Naprawdę?!

– Zgadza się!

Ale ma pan już... 30 lat. To kawałek kariery. W dodatku gra pan na obronie.

– Tak, ale wie pan, jestem naprawdę spoko gościem! (śmiej) To nie był żaden brutalny faul, miałem trochę pecha przy przyjęciu piłki, musiałem coś zrobić, no i niestety skończyło się na czerwonej kartce. Najpierw byłem zawieszony, potem miałem drobne urazy i nie mogłem grać. Czasami tak się dzieje i ważne jest to, żeby sobie z tym poradzić i wrócić silniejszym.

Trochę pan poczekał.

Trener Waldemar Fornalik nie słynie z szeroko zakrojonych zmian.

– Zgadza się, inni zawodnicy dostawali szanse, grali, my wygrywali, więc trzeba było to zaakceptować. Czasami tak się dzieje, ale je-

stem szczęśliwy, że mogłem wystąpić przeciwko Odrze i pokazać się kibicom na naszym stadionie. Cieszy, że zachowaliśmy czyste konto i wygramy.

Gdy sprawdzałem pana profil na Transfermarkcie, zauważyłem, że obok szwedzkiej ma pan także angielską flagę. Jakież korzenie?

– Zgadza się, mój tata jest z Anglii. Miał jakieś 18 lat, gdy przeprowadził się do Szwecji, więc... jest bardziej Szwedem niż Anglikiem (śmiej). Stąd też nazwisko „Watson”. Mama jest Szwedką.

Ale ma pan bardzo dobry akcent. Rozmawiamy po angielsku i brzmi pan lepiej niż przeciętny Szwed.

– Kiedy byłem dzieckiem, w domu rozmawialiśmy bardzo dużo po angielsku. Oprócz tego mam rodzinę w Anglii, jest tam dziadek i kuzyni, więc gdy byłem młodszy, odwiedzałem ich, kiedy tylko miałem jakąś przerwę w szkole.

To dlaczego pan tam nigdy nie zagrał? Skandynawowie lubią angielski futbol!

– Nie miałem nigdy takiej okazji. Może gdybym był lepszym piłkarzem... (śmiej). Ale to fajna rzecz mieć korzenie gdzieś indziej. Jestem dumny z tego, że jestem powiązany z tymi dwoma państwami.

W przeszłości grał pan z kilkoma zawodnikami, którzy występowali w Polsce. W Słowenii trenował pan też przez moment pod wodzą Ante Simundzy, który teraz prowadzi Śląska Wrocław w tej samej lidze. Podpytywał pan kogoś o polską piłkę?

– Rozmawiałem tylko z Marko Kolarem, bo graliśmy razem w Mariborze. Trochę mi opowiedział o Ruchu Chorzów. A co do Ante – tak, znam go. To naprawdę dobry trener, lubiłem z nim pracować. Ma wielkie wymagania i zawsze wie, czego chce. Mogę o nim mówić tylko w samych pozytywach. Z tego, co widzę, ich drużynie idzie teraz naprawdę dobrze.

No... Śląsk to bardzo bogaty klub jak na I ligę.

– A, okej, to dlatego. Teraz wszystko rozumiem (śmiej).

Ale już tak na poważnie... Wspomniał pan, że trener

Simundza dużo wymaga i wie, czego chce – czyli podobnie jak trener Waldemar Fornalik, żywa legenda Ruchu Chorzów.

– Zgadza się, to taka mentalność starej szkoły. Jest też trochę starszym facetem, doświadczonym, wymaga wiele od piłkarzy, ale nie mogę powiedzieć o nim nic złego.

Gdy dzień po meczu barażowym Szwecja – Polska, w którym wasza reprezentacja awansowała na mundial, wszedł pan do szatni Ruchu, jaka była reakcja?

– Próbowałem być dżentelmenem (śmiej). Nie chciałem za bardzo celebrować, gdy zobaczyłem ich twarze. Niektórzy narzekali na sędziego, bla, bla, bla (śmiej). Mieliście szansę wygrać. Fajnie, że odbył się taki mecz; dla nas, Szwedów, to znakomita rzecz pojechać na mundial po tym, jak nie awansowaliśmy na poprzedni. Niestety dla was...

Gyokeres czy Lewandowski?

– Teraz? Gyokeres, ale musi jeszcze udowodnić coś w dłuższym okresie, bo Lewandowski prezentował wysoki poziom przez wiele, wiele lat.

Ruchowi zostały trzy wyjazdowe mecze do końca, ciągle walczyacie o baraże. Jak się pan na to zapatruje?

– To wielkie wyzwanie, ale zarazem świetna sprawa. Wszystko jest w naszych rękach. Nie znam dokładnie układu tabeli, ale jeśli wygramy trzy mecze, będziemy mieli wielką szansę. Musimy być jednak lepsi niż w meczu z Odrą. Musimy pokazać dobrą energię, być odważnymi, wierzyć w siebie, że to zrobimy. To nie będzie łatwe. Będziemy potrzebowali każdego – tych z pierwszego składu i tych z ławki. Musimy przeć przed siebie, koncentrować się na każdym kolejnym spotkaniu, żeby nie myśleć za bardzo do przodu, nie patrzeć na inne wyniki. Skupiamy się na sobie.

Na koniec niepoważne pytanie. Wiedział pan, że Patryk Szwedzik oznacza... Mały Szwed? Little Swede.

– Naprawdę? Nie wiedziałem! Zaczęną tak teraz na niego mówić: little Swedish guy (śmiej).

Rozmawiał Piotr Tubacki



Watson zaliczył niefortunne wejście do Ruchu, ale ostatnio z Odrą pokazał się z dobrej strony!

Inicjatywa obywatelska

Czy wpadka Manchesteru City rozstrzygnęła właśnie losy mistrzostwa Premier League?!

ANGLIA

To było znakomite widowisko! Wydawało się, że Obywatelom wszystko pójdzie, jak z płatka, gdy do przerwy po – nie oszukujmy się – niespecjalnie intensywnym, jak na wyspiarskie realia, meczu prowadzili 1:0. Everton się jednak nie poddał. W końcu grał u siebie i między 68 a 81 minutą wpakował faworytowi trzy gole! City było w szoku, ale natychmiast wzięło się do roboty. Kontakt złapał Erling Haaland, a już minutę po zakończeniu doliczonego czasu – remis udało się uratować kompletującemu dublet Jerememu Doku. 3:3 po emocjonującej drugiej połowie było świetną rzeczą dla neutralnego kibica – ale fatalną dla kibica City!

Cały misterny plan...

Do końca sezonu Premier League zostały trzy kolejki, ale ekipa z błękitnej części Manchesteru ma jeszcze zaległy mecz z Crystal Palace. Gdyby ogrzała i Everton, i Palace, oznacza-



Po remisie z Evertonem Pepowi Guardioli (z prawej) pozostało tylko się przytulić.

łoby to, że idzie łeb w łeb z liderującym Arsenalem. To sugerowało, że o losie mistrzostwa Anglii będzie decydował bilans bramek! Kanonierzy żyli w permanentnym strachu, bo choć przez większość sezonu przodowali tabeli, to jednak szala delikatnie zaczynała przechylać się na stronę Obywateli. To oni mieli inicjatywę w tej rywalizacji, ale... przytrafił się Everton.

I cała inicjatywa w łeb! Obecnie bowiem City traci do Arsenalu pięć punktów i nawet jeśli wygra zaległości z Palace – będzie brakować mu dwóch „oczek”. To dla Kanonierów duży zastrzyk optymizmu, choć oczywiście nie oznaczający, że teraz mogą sobie pofolnować. Wszystko jednak w ich rękach, podczas gdy wcześniej – musieli liczyć sobie bramki z City. Nato-

miast nawet jeśli Arsenal też się potknie i zaliczy po drodze remis, to w tej chwili ma bilans goli lepszy o cztery.

Poplątany Guardiola

Trener Pep Guardiola nie popadał jednak w pesymizm, choć w nieco poplątanych wypowiedziach po Evertonie wyglądał jak człowiek, który otrzymał bolesny cios. – Trud-

no wyobrazić sobie lepsze zaangażowanie – pochwalił piłkarzy Katalończyk. – Wiadomość pozostaje jednak taka sama: zostały nam cztery finały i wszystkie musimy wygrać. Lepiej zdobyć punkt niż żadnego punktu. Lepiej wygrać niż zremisować. Wydarzyło się jednak wiele rzeczy, co także miało związek z wymagającym rywalem, jego agresją... Wiem, że wszystko było zarówno w naszych, jak i Arsenalu rękach, a teraz jest już inaczej. Ale teraz czeka nas mecz z Brentford i zobaczymy, co będzie potem – powiedział Guardiola. No właśnie, zaczną od Brentford, które przez większość sezonu utrzymuje się w strefie pucharowej (choć poza Ligą Mistrzów). To będzie mecz dwóch najlepszych „dziewiątek” Premier League – bo Haaland (25 goli) spotka Igora Thiago (22). Potem, w środku tygodnia, spotkanie z Crystal Palace, które w lidze przędzie cienko, ale może będzie wówczas finalistą Ligi Konferencji. Następnie czeka City mecz z Bourne-

mouth (tuż nad Brentford) oraz finisz ze zmierzającą do Ligi Mistrzów Aston Villą. Nie będzie lekko.

Łatwiejsi rywale

Co na to Arsenal? Londyńczycy na pewno są przebodźcowani, bo w całym harmidrze półfinału Ligi Mistrzów z Atletico poślizgnął się ich główny rywal do wyczekiwanego od 2004 roku mistrzostwa Anglii. Kanonierzy mają w Premier League znacznie łatwiejszych rywali – najpierw walczący o utrzymanie West Ham (choć tacy zawsze są nieprzewidywalni!), potem zdegradowane Burnley, no i końcówka z Crystal Palace. – Jeśli wygrają na wyjeździe z West Hamem, to wygrali ligę. Wtedy wszystko będzie już rozstrzygnięte – przekonywał legendarny obrońca Liverpoolu, a dzisiaj ekspert TV Jamie Carragher. – Jeśli przejdą przez to bez szwanku, nic ich nie powstrzyma – dodał inny słynny ekspiłkarz, Michael Owen.

Piotr Tubacki

Skandal w Panamie

Tego jeszcze nie było: piłkarz opuścił boisko przed ostatnim gwizdkiem, oskarżając bramkarza, kolegę z drużyny, o... ustawienie meczu!

Zdarzyło się to w ostatniej minucie meczu ligi panamskiej, w którym Alianza pokonała Sporting San Miguelito. Była to jednocześnie ostatnia kolejka turnieju Clausura, zamknięcia sezonu. Bramkarz Jose Calderon popełnił w końcu dziwaczny błąd, który kosztował bramkę i porażkę 2:3. Wyrazy twarzy zaskoczonych sprawozdawców podczas telewizyjnej transmisji – po tym, jak Calderon pozwolił piłce uciec za linię bramkową – wiele mówiły. „To szaleństwo”, „Bardzo dziwna akcja” – powtarzali. Pomocnik Gustavo Herrera, kolega Calderona z drużyny, wręcz się wściekł i bez zahamowań od razu zszedł z boiska!

Co za smród

Był to początek prawdziwego skandalu, który wybuchł jak granat w panamskiej lidze piłkarskiej. Wspomniana reakcja Herrery tylko podsycała spekulacje. Piłkarz uważa bez ogródek: to bramkarz doprowadził do samobójczej bramki. Herrera opublikował na In-

stagramie ostre w wymowie posty. „Miłość do piłki nożnej jest w sercu, ale wielu ją straciło. Jose Calderon to pieprzony ustawiacz meczów (...). Wszyscy patrzą, jak zawodnik z tak dużym doświadczeniem, który kiedyś reprezentował kraj, jest zamieszany w to gówno. Czy to przykład, który daje młodszemu zawodnikowi?” – napisał Herrera. „To naprawdę rozdziera serce. Jest tak wielu zawodników, którzy dają za siebie wszystko w meczach, zawodników, którzy chcą opuścić kraj i grać w innych ligach, by spełnić swoje marzenia. Ja jestem jednym z nich. Nieważne, ile razy upadnę, podniosę się, aż spełnię swoje marzenie. Ci, którzy szargają reputację tego sportu, powinni zająć się czymś innym i mieć odwagę przyznać się do tego, co robią” – dodał Herrera.

Przeprosiny, ale i oburzenie

Na tak ciężkie oskarżenie Calderon, który rozegrał 44 mecze w reprezentacji Panamy, nie mógł nie zareagować.

Również odpowiedział za pośrednictwem mediów społecznościowych, przyznając się do błędów podczas gry, jednak kategorycznie odrzucając wszelkie oskarżenia o nieuczciwe zachowanie. „Doszło do niefortunnego zdarzenia, które zakończyło się samobójczą bramką. Składam szczerze przeprosiny kolegom z drużyny, sztabowi szkoleniowemu,

rodzinie i kibicom... Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za czysto sportowy i nieumyślny błąd” – zaznaczył. Odnosił się do oskarżeń Herrery. „Kategorycznie odrzucam wszelkie próby powiązania tego wydarzenia z zachowaniem sprzecznym z uczciwością. Zastrzegam sobie prawo do podjęcia odpowiednich kroków prawnych przeciwko każdej osobie lub podmiotowi, który poprzez fałszywe lub bezpod-

stawne oświadczenia usiłuje zaszkodzić mojemu honorowi i reputacji”.

Jest dochodzenie

Sytuacja zaostrzyła się do tego stopnia, że liga panamska ogłosiła, że „z urzędu wszczęto formalne dochodzenie w sprawie poważnego incydentu, który miał miejsce podczas meczu 2 maja pomiędzy Alianza FC i Sporting San Miguelito i który mógł zagrozić uczciwo-

ści rozgrywek (...). Liga będzie prowadzić dochodzenie z całą surowością i pełnym zaangażowaniem” – ogłosili jej działacze. „W razie udowodnienia jakichkolwiek nieprawidłowości, zostaną zastosowane przykładowe sankcje” – zapewnili. Skandal ma nie mieć jednak żadnego wpływu na udział w najbliższym mundialu Panamy, która w grupie L zagra z Ghaną, Chorwacją i Anglią.

(pac2)

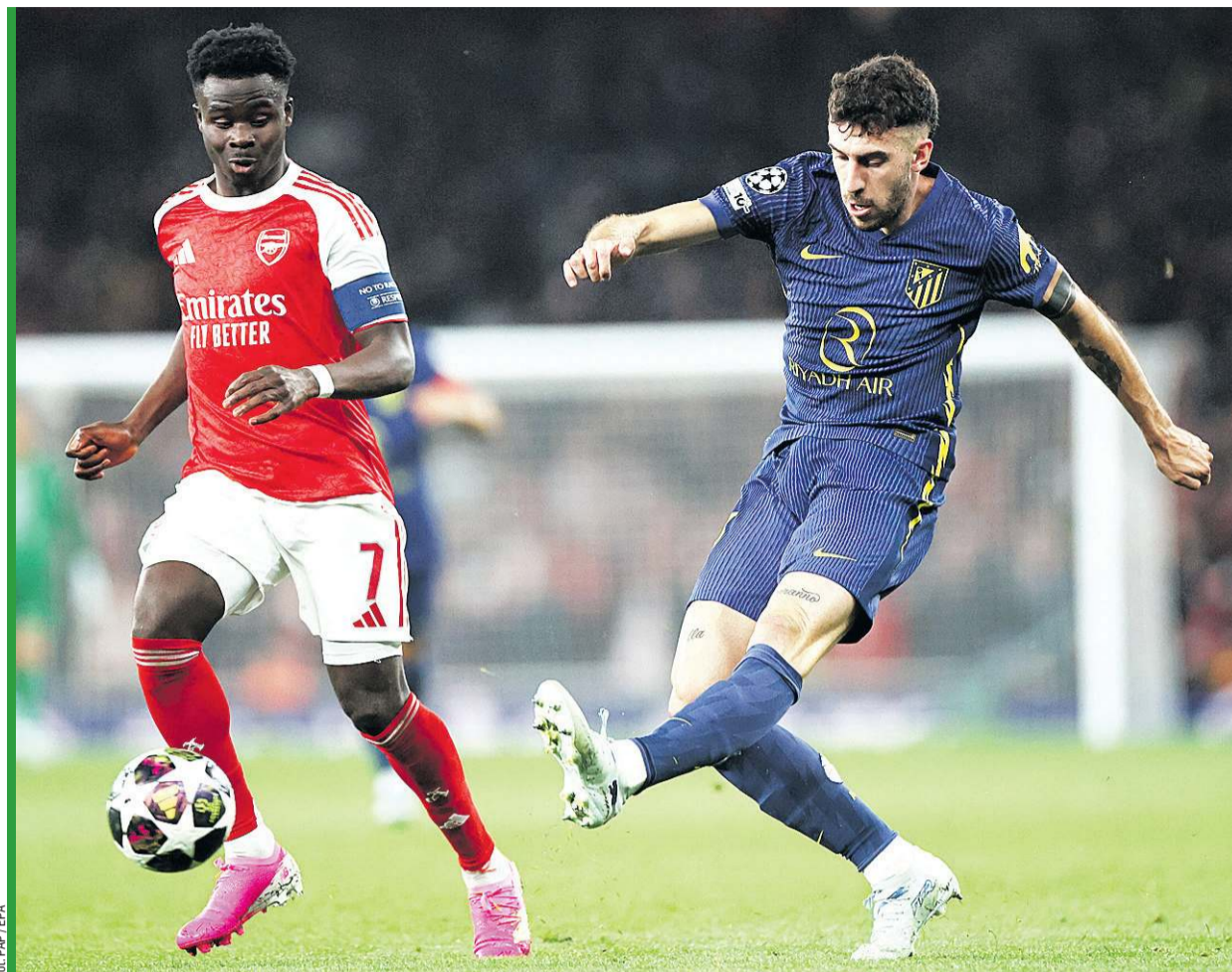

WOKÓŁ MUNDIALU


Bramkarz Jose Calderon (z lewej) ledwie kilka miesięcy temu podpisał kontrakt ze Sportingiem San Miguelito.

Fot. Sporting San Miguelito

TO JEST PROBLEM

■ Liga Panamena de Fútbol to najwyższa klasa rozgrywkowa w Panamie. Rywalizuje w niej 12 drużyn. To nie pierwszy w niej tego typu problem w ostatnim czasie. W 2024 roku doszło – w ramach operacji „Pazur” – do procesu trzech piłkarzy oskarżonych o ustawianie meczów. Śledztwo przeprowadzone przez prokuraturę ds. przestępczości zorganizowanej potwierdziło, że zawodnicy manipulowali wynikami, dostając premie w wysokości od 2500 do 4500 dolarów.



Fot. PAP / EFA

Bukayo Saka (z lewej) zapewnił zwycięstwo drużynie z Londynu.

20 lat i... wystarczy!

Arsenal po raz drugi w historii zagra w finale Ligi Mistrzów i otrzyma szansę na pierwszy triumf w tych rozgrywkach.

LIGA MISTRZÓW

Arsenal i Atletico to jedyne zespoły w półfinale Ligi Mistrzów, które nigdy nie triumfowały w tych rozgrywkach. To drużyny, które wystąpiły w finale, ale nie były w stanie zwyciężyć. Kanonierzy raz dotarli do finiszu Champions League, w 2006 roku ulegając na Stade de France w Saint-Denis Barcelonie. Los Colchoneros mieli więcej podejść do wygrania najbardziej prestiżowego trofeum w piłce klubowej. W 2016 przegrali z Realem Madryt w Mediolanie, a w 2014 także ulegli Królewskim na Estadio da Luz w Lizbonie. Zanim powstały rozgrywki Ligi Mistrzów, Atletico zagrało też w finale Pucharu Mistrzów, przegrywając w 1974 roku z Bayernem na stadionie Heysel w Brukseli. Obie ekipy mają więc głąd sukcesu i od lat czekają na zwycięstwo w Lidze Mistrzów. Pewne było to, że któraś z nich znajdzie się w finale. Jednak przed wczorajszym rewanżowym starciem Arsenalu z Atletico trudno było przewidzieć, która jest faworytem. W pierwszym, wyrównanym star-

ciu w Madrycie był remis 1:1. Należało oczekiwać, że w Londynie będziemy świadkami podobnej rywalizacji.

Trener Atletico, Diego Simeone, w tym sezonie postawił wszystko na jedną kartę. W lidze zaczął wystawiać debiutantów i rezerwowanych, odpuszczając kompletnie walkę z Realem Madryt i Barceloną. Argentynczyk nie miał też zamiaru przejmować się przegraną w finale Pucharu Króla z Realem Sociedad. Jego misją na ten sezon była wygrana w Lidze Mistrzów, doprowadzenie Atletico do historycznego sukcesu, sięgnięcie po wymarzone trofeum, na które pracuje w ekipie ze stolicy Hiszpanii od 15 lat bez przerwy.

Problemem Simeone był jednak rywal. Arsenal w tym sezonie może nie gra porywającego futbolu, ale jest szalenie skuteczny. Z tego powodu znajduje się na szczycie tabeli Premier League i dlatego też dotarł do półfinału Ligi Mistrzów. Gdy tylko zespół Mikela Artety ma okazję do zdobycia bramki, wykorzystuje ją. I o tym boleśnie przekonali się przyjezdni z Półwyspu Iberyjskiego. Gdy Simeone myślał już o tym, że jego podopiecz-

ni dotrwają do przerwy bez utraty gola, w 45 minucie do siatki trafił Bukayo Saka, który dobił piłkę do pustej bramki po interwencji Jana Oblaka. Sytuacja Atletico skomplikowała się, podobnie zresztą jak tydzień temu. W pierwszej odsłonie dwumeczu z Arsenalem Victor Gyokeres też zdobył gola pod koniec pierwszej połowy, wykorzystując rzut karny. Dopiero po zmianie stron Atletico było w stanie wyrównać.

Wczoraj Madrytscy także mieli okazję do tego, żeby szybko zniwelować stratę, ale szansy nie wykorzystał Giuliano Simeone. Argentynczyk powinien skarcić Arsenal za błąd w defensywie, powinien trafić do pustej bramki, pomimo tego, że był naciskany przez Gabriela. Gdy nie udało mu się czysto trafić w piłkę, sugerował, że był faulowany przez Brazylijczyka, ale arbiter Daniel Siebert nie nabrał się na tę próbę oszustwa. Trener Simeone szybko więc stracił cierpliwość do swojego syna i po kilku minutach od niewykrywanej sytuacji wprowadził za niego na boisko Johnny'ego Cardoso.

Arsenal do końca meczu nie popełnił już ta-

kiego błędu. Zespół trenera Artety wiedział, że przy kolejnej podobnej sytuacji Atletico już się nie pomyli. Madrytscy do końca meczu walczyli, ale ani razu nie zbliżyli się do bramki Oblaka. Najbliżej zdobycia gola był Alexander Sorloth, który otrzymał podanie w pole karne, ale skik-sował. Kanonierzy zamęczyli przyjezdnych z Hiszpanii szczelną defensywą. Zagrali na zero z tyłu, wykorzystali jedną okazję, którą mieli i wygrali. Awansowali do wymarzonego finału Ligi Mistrzów po 20 latach przerwy. Teraz pozostaje im oczekiwanie na przeciwnika.

Kacper Janoszka

PÓLFINAL LIGI MISTRZÓW

■ Arsenal – Atletico Madryt 1:0 (1:0). W pierwszym meczu 1:1. Awans Arsenal

1:0 – Saka (45)

ARSENAL: Raya – White, Saliba, Gabriel, Calafiori (58. Hincapié) – Rice, Lewis-Skelley (74. Zubimendi) – Saka (58. Madueke), Eze (59. Odegaard), Trossard (83. Martinelli) – Gyokeres. Trener Mikel ARTETA.

ATLETICO: Oblak – Pubill, Le Normand (58. Sorloth), Hancko, Ruggieri – Simeone (58. Cardoso), Llorente, Koke, Lookman (58. Molina) – Griezmann (66. Baena), Alvarez (66. Almada). Trener Diego SIMEONE.

Żółte kartki: Calafiori – Pubill, Koke.

LIGA MISTRZÓW – PÓLFINAL

Bayern – Paris Saint-Germain

(w pierwszym meczu 4:5)

Środa, 21.00 – Canal+ Extra 1

Druga odsłona ucztę

Pierwsze spotkanie Bayernu z PSG dostarczyło mnóstwo emocji. Nic dziwnego, że kibice z niecierpliwością czekają na rewanż.

LIGA MISTRZÓW

Pprzed tygodniem doszło w Paryżu do strzeleckiego popisu. W sumie padło aż dziewięć goli, a minimalnie lepsi okazali się piłkarze PSG, którzy wygrali 5:4. – Normalnie pięć bramek straconych na wyjeździe w półfinale Ligi Mistrzów oznacza odpadnięcie. Ale patrząc na okazje, które stworzyliśmy, mogliśmy strzelić więcej goli niż cztery. I to musi nam dać wiarę w rewanż – powiedział trener Bayernu Vincent Kompany. O ofensywnych poczynaniach obu ekip najlepiej świadczy fakt, że po raz pierwszy w historii tych elitarnych rozgrywek dwa kluby strzeliły ponad 40 goli w jednym sezonie (PSG 43 i Bayern 42 bramki). Rekordzistą pozostaje FC Barcelona z sezonu 1999/2000 z 45 trafieniami.

W weekend oba kluby straciły punkty w ligach, ale oszczędzały najlepszych zawodników na spotkanie rewanżowe. Większy komfort miała niemiecka drużyna, która ma już zapewniony tytuł mistrzowski. Paryżanie wciąż muszą się starać, choć są blisko mistrzostwa, ale obronę tytułu w Champions League traktują równie priorytetowo. Jednak dla trenera Luisa Enriquego remis 2:2 z Lorient był rozczarowujący. – Trudno jest wrócić do ligowej rywalizacji po tak ważnym meczu rozegranym w fantastycznej atmosferze. Pod względem motywacji to spore wyzwanie. Ten wynik jest rozczarowujący, bo naprawdę potrzebowaliśmy trzech punktów – powiedział po meczu Hiszpan.

I chociaż piłkarze PSG mają gola przewagi nad Bawarczykami, muszą uważać, bo rywale są bardzo mocni u siebie. Bayern przegrał tylko jedno z ostatnich 29 domowych meczów w LM, a wygrywał we wszystkich sześciu tegorocznych spotkaniach na własnym boisku. Z drugiej strony drużyna z Monachium tylko cztery razy awansowała do kolejnej rundy Champions League po przegranym pierwszym meczu (na 16 takich przypadków). Ostatni raz miało to miejsce w sezonie 2023/24 w rywalizacji z Lazio, kiedy po porażce w Rzymie 0:1, u siebie Bawarczykom udało się wygrać 3:0 i awansować do ćwierćfinału.

Trener Kompany może być zadowolony z sytuacji kadrowej swojego zespołu, ponieważ nie dość, że wszyscy najlepsi zawodnicy są zdrowi, to na dodatek do treningów wrócili nieobecni ostatnio Raphael Guerreiro oraz 18-letni Lennart Karl. Jednak występ obu w rewanżu pozostaje nadal niepewny, a sztab szkoleniowy zapewne nie chce ryzykować odnowienia urazów. Większy ból głowy ma szkoleniowiec PSG, ponieważ na pewno z Bayernem nie będzie mógł zagrać Achraf Hakimi, który doznał kontuzji w pierwszym meczu i będzie pauzował przez kilka tygodni. Marokańczyk jest bardzo ważnym zawodnikiem, którego nie będzie łatwo zastąpić. Za niego na prawej obronie najprawdopodobniej wystąpi Warren Zaire-Emery, który nie będzie miał łatwego zadania przeciwko skrzydłowym Bayernu.

Miłosz Cebo



Piłkarze obu zespołów dziękują sobie za stworzenie świetnego widowiska. Jakie będzie to środowe?

Fot. PSNEW/SPA / Press Focus



Fot. Mateusz Sobczak / Press Focus

Patryk Gogół to na ten moment ostatni strzelec gola dla Zagłębia...

Strzelecka niemoc

Sosnowiecki drugoligowiec nie trafił do siatki już od ponad miesiąca. – Brak skuteczności to nasza największa bolączka – nie ukrywa trener Tomasz Łuczywek.

ZAGŁĘBIE SOSNOWIEC

Od 325 minut trwa strzelecka niemoc piłkarzy Zagłębia, którzy jeszcze liczą na „załapanie się” do baraży o utrzymanie. Po raz ostatni z gola cieszyli się w Wielką Sobotę, czyli 4 kwietnia, w przegranym 1:2 wyjazdowym starciu ze Świttem Szczecin.

Gole... wirtualne

Do siatki trafił wówczas Patryk Gogół, a zegar wskazywał 35 minutę. W żadnym z trzech kolejnych spotkań graczom z Sosnowca nie było dane pokonać bramkarza rywala. Zagłębie uległo bowiem rezerwom ŁKS-u 0:2, w takim samym stosunku przegrało z Podbeskidziem Bielsko-Biała, a w ostatniej kolejce bezbramkowo zremisowało ze Stalą Stalowa Wola. Wprawdzie wzbogaciło się o trzy punkty za walkower z wycofanym z rywalizacji GKS-em Jastrzębie, ale przecież trudno dopisywać do jego dorobku strzeleckiego trzy wirtualne trafienia... W 11 tegorocznych meczach Sosnowiczanie zdobyli zaledwie dziewięć bramek, z czego jedna była samobójcza. Gratulacje za cztery trafienia odbierał Jewgienij Szykawka, najsukceszniejszy (10) strzelec zespołu, ale ostatni raz miało to miejsce 18 marca w przegranym 2:3 starciu z Unią Skierniewice. Z kolei Bar-

tosz Snopczyński trafił tej wiosny tylko raz i to na jej inaugurację z Sandecją Nowy Sącz (1:2), czyli... 24 lutego i było to zaledwie stracie z jesieni.

Najgorzej wygląda jednak dorobek tego, po którym spodziewano się najwięcej. Szymon Sobczak może się na razie „pochwalić” zerowym kontem, choć jedno trafienie zabrali mu sędziowie, nie zauważając, jak w meczu z Wartą Poznań (2:2) piłka całym obwodem przekroczyła linię bramkową.

Prawo serii?

– Brak skuteczności to nasza największa bolączka. Mamy okazje, tak jak w meczu ze Stalówką, ale brakuje wykończenia. Trudno jest wygrać, kiedy nie pokonuje się bramkarza. Mam nadzieję, że przełamanie przyjdzie w odpowiednim momencie, a więc już w najbliższym spotkaniu z Hutnikiem Kraków. To dla nas mecz o być albo nie być. Ewentualna strata punktów oznaczać będzie pożegnanie z ligą. Tylko wygrana utrzyma nas w grze. W pierwszym meczu jako trener przegrałem, potem był remis, więc teraz w końcu musi się udać zwyciężyć. To oczywiście tylko teoria i wiara, bo najważniejsza jest praktyka. Piłkarze muszą sobie zdać sprawę, że nie ma już miejsca na pomyłki – podkreśla Tomasz Łuczywek, szkoleniowiec Zagłębia.

Uszczypliwości i żądania

Podczas ostatniego meczu ze Stalą na trybunach ArcerolMittal Park zasiadło nieco ponad 2 tysiące osób. W sobotę z Hutnikiem frekwencja zapewne będzie podobna; kibice odwrócili się od zespołu i – mimo promocyjnych cen biletów – chcą go oglądać tylko ci najwierniejsi... W stałym repertuarze fanów są uszczypliwości. Wywieszono transparent wprost skierowany do prezydenta Sosnowca, Arkadiusza Chęcińskiego. „Prezydencie – widok tych trybun to wasze rządy i obietnice. Nikomu oczu nie zamydycie, że winni są kibice”. Oberwało się także Kacprowi Skórze. W tym przypadku napis brzmiał: „Skóra wyp...”. Ostatni napis o treści „Skowronek won” skierowany był do Kariny Skowronek, prezes Zagłębiowskiego Parku Sportowego, który zarządza ArcerolMittal Parkiem. Skórze, jednemu z najlepszych graczy Zagłębia w rundzie jesiennej, zarzuca się, iż celowo przeciąga powrót na boisko po kontuzji, a zarazem finalizuje przejście do innego klubu. Jeśli zaś chodzi o prezesa Skowronek, to wciąż się jej pamięta, że w Wielką Sobotę nie zgodziła się na kibicowskie święcenie pokarmów. Skoro piłkarze nie dostarczają emocji na boisku, trzeba się ekscytować tym, co obok nich...

Krzysztof Polaczkiwicz

Sparta przeskoczyła poprzeczkę

Nadszpiewanie wiele kłopotów wyżej notowanym gościom sprawili piłkarze Ruchu Radzionków. Gole tracili w doliczonym czasie obu potów, a polegli dopiero w serii „jedenastek”.

PUCHAR POLSKI - ŚLĄSKI ZPN

Występujący w IV lidze Radzionkowie nie wygrali żadnego z sześciu ostatnich meczów o punkty, a w sobotę w starciu z Podlesianką Katowice stracili aż pięć goli. Kiedy więc we wtorkowy wieczór na mecz z Cidrami przyjechał katowicki trzecioligowiec (i to z czołówki tabeli), faworyt był oczywisty: zagadką zdawały się co najwyżej minuty, w których padną bramki.

A padły bardzo szybko, tylko... w niespodziewaną stronę. Widzowie jeszcze dobrze nie rozsiadli się na krzesłkach, gdy już musieli z nich wyskoczyć: Alan Sprot w ekwilibrystyczny sposób – po asyście Dominika Piotrowskiego – trafił do siatki, wykonując przy okazji... przewrót w tył. Gdy kwadrans później Piotrowski po kontrze podwyższył na 2:0, zapachniało sensacją. Wydawało się, że obchodzący tego dnia urodziny Kacper Zalewski dostanie od kolegów niespodziewany prezent, tym bardziej że Radzionkowie grali z wielkim poświęceniem, czego przykładem dwie interwencje Piotra Kwaśniewskiego wybijającego piłkę z linii bramkowej. Tenże sam pomocnik Ruchu w 3 minucie doliczonego czasu gry – przy stanie 2:1 – mógł postawić kropkę nad „i”, ale w sytuacji sam na sam z 17-letnim Maksymem Podporskim nie zdołał skierować piłki do siatki. I 120 sekund później Ruch ciężko za to zapłacił: Robert Woźniak dał gościom szansę na karne!

– Nikt w nas nie wierzył, tymczasem zagraliśmy jeden z najlepszych meczów tej wiosny. To dobra nauka dla naszych młodych chłopaków, że warto mocno pracować – mówił Dawid Stambuła. Bramkarz Cidrów mógł zostać bohaterem, gdyby – poza kilkoma fantastycznymi interwencjami w ciągu 95 minut gry – udało mu się obronić strzały rywala w serii jedenastek. Byli jednak bezbłędni, tymczasem w ekipie gospodarzy nie trafił w bramkę Kacper Smoleń, a Dawid Piwoński dał okazję Podporskiemu na skuteczną interwencję.

– Brawo dla Ruchu, wyśoko zawiesił nam poprzeczkę – komplementował przeciwników trener Sparty, Tomasz Wróbel. I przyznawał, że początkowo nie miał w planie puszczać na boisko liderów drużyny; okoliczności meczu jednak go to tego zmusiły. – Cieszę się, że rywalizacja zakończyła się karnymi. To nauka odpowiedzialności dla chłopaków. A każdy z nich zgłosił się do strzelania! – przyznawał z uśmiechem opiekun Katowiczian.

Dariusz Leśnikowski



Maksym Podporski dotożył cegielką do awansu Sparty.

Fot. Sparta Katowice

CWIERĆFINAŁY

Ruch Radzionków – Sparta Katowice 2:2 (2:1) karne 2-4

Bramki: Sprot 4, Piotrowski 19 - Zambrano, 45+1 min głową, Woźniak, 90+5 min.

RUCH: Stambuła – Smoleń, Sobek (46. Turczyn), Harmata, Duda – Zalewski (68. Piontek), Pacyga (68. Pacyga), Kwaśniewski – Piotrowski (76. Sadtak), Siwy – Sprot (60. Bolacki). Trener Marcin TRZCIONKA.

SPARTA: Podporski – Piątek (46. Zacharczenko), Torres, Skroch – Michałski (61. Włodarczyk), Lusiusz, Ciszewski (46. Kuliński), Krzak (33. Sobolewski) – Paszek (61. Uchnast), Zambrano (77. Musiał) – Matysek (61. Woźniak). Trener Tomasz WRÓBEL.

Sędziował Adrian Koziet (Bielsko-Biała). Widzów 153. Żółte kartki: Kwaśniewski, Piotrowski, Piontek, Siwy - Skroch, Torres, czerwona Siwy (90+3, druga żółta).

Skra Częstochowa – Górnik II Zabrze 1:3 (1:1)

Bramki: Suski 18 - Toboli 5, Nweke 81 głową, Skiba 89.

Pozostałe mecze 1/4 finału:

Unia Kalety - Unia Turza Śląska oraz Warta Zawiercie - Kuźnia Ustronia, odbędą się 12 i 13 maja.

ORLEN EKSTRALIGA KOBIET

■ GKS Katowice - Stomilanki Olsztyn - środa, 15.00.

| | | | |
|----------------|----|----|-------|
| 1. Czarni | 19 | 47 | 59:14 |
| 2. Górnik | 19 | 44 | 43:13 |
| 3. Szczecin | 19 | 42 | 53:18 |
| 4. Katowice | 17 | 33 | 35:23 |
| 5. Łódź | 19 | 28 | 31:29 |
| 6. Śląsk | 18 | 26 | 37:26 |
| 7. Rekord | 19 | 25 | 25:30 |
| 8. Lech | 18 | 22 | 24:38 |
| 9. Gdańsk | 19 | 20 | 22:39 |
| 10. Kraków | 19 | 15 | 19:37 |
| 11. Stomilanki | 18 | 13 | 20:56 |
| 12. Tczew | 18 | 3 | 11:56 |

FOGO FUTSAL EKSTRALASA

1/4 FINAŁU (DO DWÓCH ZWYCIĘSTW)

Rekord Bielsko-Biała - GI Małep-szy Leszno - środa, 18.00, Legia Warszawa - Construct Lubawa - środa, 20.00.

4. LIGA ŚLĄSKA

■ Raków II Częstochowa - Decor Betk - środa, 18.00.

| | | | |
|--------------------|----|----|-------|
| 1. ROW | 27 | 67 | 80:22 |
| 2. Raków II | 26 | 65 | 66:14 |
| 3. Podlesianka (s) | 27 | 55 | 56:33 |
| 4. Spójnia | 27 | 49 | 60:38 |
| 5. Drama | 27 | 47 | 52:35 |
| 6. Polonia | 27 | 46 | 41:35 |
| 7. Szombierki (b) | 27 | 43 | 56:52 |
| 8. Piast II | 27 | 42 | 52:47 |
| 9. Kuźnia | 27 | 41 | 45:27 |
| 10. Ruch | 27 | 39 | 47:43 |
| 11. Victoria | 27 | 36 | 44:61 |
| 12. Decor | 26 | 32 | 53:52 |
| 13. Unia (s) | 27 | 28 | 45:49 |
| 14. Rozwój | 27 | 21 | 40:63 |
| 15. Przemsza | 27 | 16 | 36:74 |
| 16. Gwarek | 27 | 10 | 23:98 |
| 17. Orzeł (b) | 27 | 31 | 32:51 |
| 18. Znicz (b) | 27 | 21 | 36:70 |

ŚLĄSKA KLASA OKRĘGOWA

GRUPA I: ŁTS Łąbedy - Górnik Bo-

rowniki Śl. 1:3; Silesia Miechowice - Tempo Paniówki - środa, 19.00, Sośnica Gliwice - Unia Strzybnica - środa, 20.00.

| | | | |
|--------------------|----|----|--------|
| 1. Strzybnica | 25 | 59 | 73:34 |
| 2. Sierakowice | 25 | 58 | 79:24 |
| 3. Łąbedy | 26 | 57 | 84:42 |
| 4. UKS Ruch (b) | 25 | 47 | 65:40 |
| 5. MOSiR Sparta | 26 | 47 | 63:47 |
| 6. Borowa Wieś | 25 | 44 | 55:38 |
| 7. Piłchowice (b) | 25 | 44 | 42:28 |
| 8. Borszowice | 25 | 41 | 59:40 |
| 9. Bobrowniki Śl. | 26 | 41 | 68:68 |
| 10. Paniówki | 26 | 39 | 49:58 |
| 11. Polonia II (b) | 26 | 37 | 55:37 |
| 12. Sośnica | 25 | 33 | 47:36 |
| 13. Żyglin | 25 | 25 | 48:60 |
| 14. Kozłów | 25 | 25 | 52:69 |
| 15. Nakto Śl. | 25 | 17 | 40:80 |
| 16. Gwarek II (b) | 25 | 16 | 34:107 |
| 17. Miechowice (s) | 25 | 14 | 30:87 |
| 18. AP Team (b) | 26 | 7 | 31:79 |

GRUPA IV: Górnik Piaski - Stadion Śląski Chorzów - środa, 18.00.

(m)

SPÓD BANDY

BIGOS W TRENCZYNI

■ Tobiasz Bigos, jeden z asystentów Pekki Tirkkonena, był jednym z kandydatów na trenera Unii. Działacze tego klubu zrezygnowali jednak z tej opcji, uznając, że nie ma on doświadczenia w pracy z seniorami. W Oświęcimiu zdecydowano się zatrudnić 38-letniego Fina Marcusa Juurikkalę, który też ma mikry staż, chociaż prowadzi reprezentację Rumunii, a wcześniej pracował w zespołach młodzieżowych.

Natomiast Bigos kilka lat spędził w Finlandii, studiując w HAGA-Helia University of Applied Sciences na kierunku Sports Coaching and Management i potem pracował z młodzieżowymi zespołami Ilves Tampere. Teraz podjął decyzję, że będzie drugim trenerem w Dukli Trenczyn i ze słowackim klubem podpisał kontrakt na sezon.

POWRÓT KASPERLIKA

■ Martin Kasperlik ma za sobą nieudany sezon z Unią Oświęcim i było niemal pewne, że opuści zespół. 32-letni napastnik postanowił wrócić do JKH GKS-u Jastrzębie, gdzie spędził pięć sezonów i sięgnął po potrójną koronę

– mistrzostwo, Puchar i Superpuchar Polski. Kasperlik pochodzi z Karwiny, a przecież zespół z Jastrzębia będzie w tym sezonie nadal grał w tym mieście. Kadra JKH GKS-u liczy już 16 zawodników – bramkarze: Paavo Hölsä, Jakub Futryk i Kacper Michalski; obrońcy: Emil Bagin, Peter Bezuška, Patryk Hanzel, Jakub Onak i Filip Wojciechowski; napastnicy: Martin Kasperlik, Oskar Laszkiewicz, Łukasz Nalewajka, Radosław Nalewajka, Mikołaj Osiały, Bartłomiej Stolarzki i Wiktor Zajac.

BEPIERSZCZ POLONISTĄ?

■ Mateusz Bepierszcz, wielce doświadczony napastnik, mający trzy tytuły mistrzowskie z GKS-em Tychy (2018) oraz z GKS-em Katowice (2022 i 2023) oraz wiele krążków z mniej cennego kruszcu, nie zamierza kończyć przygody hokejowej. Po zdobyciu kolejnego wicemistrzostwa Polski z GieKSą skończył mu się kontrakt z tym klubem. Z naszych informacji wynika, że „Bepi”, bo tak nazywają go koledzy, zakotwiczy w nowym sezonie w bytomskiej Polonii. Negocjacje, podobno, są na finiszu.

(s)

Huragany po raz szósty!

NHL

Wprawdzie hokeiści z Caroliny byli w opałach, ale potrafili z nich wyjść, wygrywając z Philadelphia Flyers 3:2 (1:2, 0:0, 1:0, 1:0) po dogrywce i prowadzą w serii 2-0. Zwycięskiego gola na 66 sek. przed zakończeniem dodatkowego czasu zdobył Taylor Hall. Jego pierwszy strzał zatrzymał Dan Vladar (40 skutecznych interwencji), ale potem w zamieszaniu podbramkowym dobitka była już skuteczna i krążek przeszedł między nogami obrońcy Trivisa Sanheima i ochraniaczem bramkarza. Tym samym Huragany odnieśli w play offie sześć zwycięstw z rzędu i są piątą drużyną w lidze z takim dorobkiem.

Mecz rozpoczął się niezwykle udanie dla przyjezdnych, którzy w 5 min w ciągu 39 sek. zdobyli dwa gole. Najpierw Frederika Andersena (34 obrony) pokonał w liczebnej w przewadze Jamie Drysdale, a nieco później Sean Couturier. Straty zmniejszył Nikolaj Ehlers (11 min, w przewadze), a potem zaliczył asystę przy bramce Setha Jarvisa (52).

Rod Brind'Amour, trener gospodarzy, utyskiwał, że jego zespół popełnił 7 kar, a one zaburzają rytm gry i są problemy ze zdobywaniem goli. Natomiast Rick Tocchet, szkoleniowiec Lotników, chwalił młodych zawodników za walkę do samego końca i ma nadzieję na korzystne rezultaty we własnej hali.

Osiem lat temu drużyna Vegas Golden Knights, ówczesny ligowy debiutant, wyeliminowała Anaheim Ducks w 1. rundzie play offu i powędrowała do finału, przegrywając z Washington Capitals w serii 1-4. Teraz oba zespoły spotkały się w ćwierćfinale i pierwsze spotkanie zakończyło się wygraną Złotych Rycerzy 3:1 (0:0, 1:0, 2:1), jednak Kaczory pozostawiły po sobie dobre wrażenie.

W zespole gospodarzy pojawił się William Karlsson, który od listopada leczył kontuzję. Jego występ nie był błyskotliwy, oddał zaledwie jeden strzał i wygrał 7 z 13 wznowień, jednak trener John Tortorella jest przekonany, że doświadczony 33-letni Szwed będzie jeszcze potrzebny w tym play offie. Po bezbramkowej 1. tercji prowadzenie dla gospodarzy uzyskał Brett Howden (24 min), dla którego był to 5. gol w tej części sezonu. Do remisu doprowadził Mikael Granlund (54), ale błyskawicznie odpowiedział Iwan Barbaszew (56), który też wynik ustalił na 6 sek. przed końcem, posyłając krążek do pustej bramki. Po meczu trener Tortorella mocno podkreślał, że jego drużynie dopisało szczęście i musi grać znacznie lepiej, by myśleć o wygraniu tej serii.

ĆWIERĆFINAŁY PUCHARU STANLEYA

■ Konferencja Zachodnia: Vegas – Anaheim 3:1, w serii 1-0.

■ Konferencja Wschodnia: Carolina – Philadelphia 3:2 po dogrywce, w serii 2-0.

(ws)

Pozostała wąska ścieżka

By Biało-czerwoni mieli szanse na miejsce premiowane awansem, muszą teraz liczyć na Kazachów, z którymi wczoraj przegrali.

MISTRZOSTWA ŚWIATA

Przez blisko 47 minut Polacy mieli autostradę do elity, bo prowadzili w trzecim meczu mistrzostwa świata Dywizji 1A w Sosnowcu z Kazachstanem 1:0. Skończyło się jednak porażką 2:3 i w tej sytuacji pozostała nam tylko wąska ścieżka, by znów znaleźć się w elitarnym towarzystwie. Kazachowie muszą wygrać z Ukrainą i Francją, a my zdobyć komplet punktów z Japonią i Litwą, by przy sprzyjających okolicznościach zdobyć premiowane miejsce. Nie-realne? Jednak możliwe.

W końcu decyzja

Przed spotkaniem z Kazachstanem trener Pekka Tirkkonen wraz ze współpracownikami podjął ważną i długo oczekiwaną decyzję personalną. Mieliśmy w kadrze jedno wolne miejsce i nominację otrzymał Christian Mroczkowski. Napastnik bytomskiej Polonii ma za sobą udany sezon ligowy. W pierwszej części zdobył 40 pkt (19 goli+21 asyst), zaś w play offie dorzucił 4 (2+2). W reprezentacji pojawił się przed lutym turniejem Europejskiego Pucharu Narodów w Edynburgu i od tego czasu rozegrał 9 meczów. Nie wystąpił tylko w ostatniej potyczce towarzyskiej z Francją (3:2 po karnych) w Bytomiu. „Mroczek” to uniwersalny napastnik, bo w Polonii grał jako środkowy, zaś w reprezentacji był skrzydłowym. Kara meczu środkowego Kamila Wałęgi w starciu z Francją w dużej mierze sprawiła, że napastnik z podwójnym paszportem kanadyjsko-polskim otrzymał szansę gry w mistrzowskim turnieju. Przeciwno Kazachom został ustawiony w 3. formacji razem z Filipem Komorskim i Aronem Chmielewskim. Natomiast Szymon Kiełbicki, rewelacja meczów towarzyskich w okresie przygotowawczym, został „zesłany” do 4. formacji, choć zaczynał w 1. To słuszna decyzja, bo w turnieju czuje się zagubiony i nie pokazuje swoich walorów.

Niecodzienne okoliczności

Nasi hokeiści solidnie odrabiają lekcje w tym turnieju. Przeciwno Kazachom wyszli mocno skoncentrowani i szalenie zmotywowani. Tym razem obyło się bez kary w... 1 min, a na dodatek już w 69 sek. Bia-



Christian Mroczkowski doczekał się debiutu w mistrzostwach świata.

Fot. PAP / Art-Service

Kazachstan – Polska 3:2 (0:1, 0:0, 3:1)

0:1 – Wronka – Łyszczarczyk – Naróg (1:09), 1:1 – Muratow – Michailow – Szestakow (48:01), 2:1 – Simonow – Łogwin – Liapunow (57:53), 3:1 – Sawicki – Kajirzanow – Szestakow (58:53, do pustej), 3:2 – Krężolek – Wałęga – Wronka (59:58).

Sędziowali: Uldis Buss (Łotwa) i Logan Gruhl (USA) – Junseo Lim (Korea) i Quentin Ugoletti (Francja). Widzów 2567.

KAZACHSTAN: Szutow; Michailow – Danijar, Beketajew – Orazow, Nikitkin – Breus, Koroszew – Gaitamiow; Szestakow – Muratow – Starzenko, Omirbekow – Kajirzanow – Sawicki, Liapunow – Łogwin (2) – Simonow, Asserow – Gatijatow – Szaichmedenow. Trener Tatgat ŻAJLAUOW.

ło-czerwoni objęli prowadzenie w niecodziennych okolicznościach. Patryk Wronka, rozgrywający dobry turniej, uderzył mocno w stronę bramki, lecz krążek minął cel, jednak odbił się od bandy i wpadł za „kohnierz” Nikity Szutowa. Kazachowie byli mocno zdezorientowani, podobnie jak sędziowie, którzy przeprowadzili analizę wideo. Tylko Wronka był pewny swego, bo już wcześniej podniósł ręce z radości. Potem nasi hokeiści niezwykle solidnie pracowali w obronie, bo Kazachowie za wszelką cenę chcieli wyrównać. Tomáš Fučík interweniował z dużym spokojem, a koledzy mocno go wspierali. Raz przyszła nam z pomocą poprzeczka i mieliśmy spore kłopoty, gdy w boksie kar przebywał Mateusz Bryk. Kazachowie osiągnęli wysoką przewagę (9-2 w strzałach), ale gol był po naszej stronie.

Słowa uznania

Druga odsłona, choć bez goli, była więcej niż dobra w naszym wykonaniu. Owszem, początek należał do

POLSKA: Fučík; Ciura – Pocięcha, Naróg – Górny, Bryk (2) – Wanacki, Biłtas; Krężolek – Wałęga – Zygmunt, Wronka – Paś – Łyszczarczyk, Mroczkowski – Komorski – Chmielewski, Macias – Syty (2) – Kiełbicki, Ślusarczyk. Trener Pekka TIRKKONEN.
Kary: Kazachstan – 2 min, Polska – 4 min.

Pozostałe wyniki: Litwa – Japonia 2:3 (0:1, 1:1, 1:0, 0:1) po dogrywce, Francja – Ukraina 2:3 (0:2, 2:1, 0:0).

| | | | |
|---------------|---|---|------|
| 1. Kazachstan | 3 | 9 | 13:2 |
| 2. Ukraina | 3 | 6 | 7:6 |
| 3. Francja | 3 | 5 | 9:8 |
| 4. POLSKA | 3 | 4 | 7:8 |
| 5. Japonia | 3 | 2 | 6:12 |
| 6. Litwa | 3 | 0 | 4:9 |

Dzisiaj dzień wolny.

solidnie pracowali w defensywie, ale też niezwykle rozsądnie atakowali. W pełni zasłużyli na słowa uznania.

Ocieranie łez

W ostatniej tercji inicjatywa należała ciągle dla Kazachów, ale nasza obrona długo była szczelna. W końcu przewaga rywali została jednak nagrodzona. W 49 min Batorylan Muratow z prawej strony precyzyjnie uderzył i krążek wpadł do bramki, a potem przyszło nam ocierać łzy. Kazachowie zdobyli drugiego gola i trener Tirkkonen wziął czas i nakreślił plan. Fučík pozostał w boksie, ale po 39 sek. Kirił Sawicki zdobył kolejnego gola, posyłając krążek do pustej bramki. Na otarcie łez na 2 sek. przed końcówką syreną Krężolek zdobył kontaktowego gola. Kazachowie powtórzyli wyczyn z Litwinami. Wówczas po 40 minutach też przegrywali 0:1, ale w ostatniej odsłonie zdobyli cztery bramki, zaś teraz o jedną mniej.

Trudno naszym hokeistom odmówić zaangażowania i walki od początku do końca. To jednak było za mało na skutecznych rywali.

Włodzimierz Sowiński

ZŁOTY DUET

STRZELECTWO

■ Karolina Romańczyk (WKS Śląsk Wrocław) i Tomasz Bartnik (WKS Legia Warszawa) zdobyli w chorwackim Osijeku złoty medal strzeleckich mistrzostw Europy w karabinie na 300 metrów z trzech postaw w konkurencji par mieszanych. We wtorkowym me-

czu o tytuł Polacy pokonali Finów Hennę Viljanen i Aleksa Leppę 16:12. Romańczyk i Bartnik to nie tylko zawodnicy kadry narodowej, ale także żołnierze Centralnego Wojskowego Zespołu Sportowego (CWZS).

W sumie Biało-czerwoni wywalczyli na obiekcie Gradski Vrt pięć krążków: dwa złote, dwa srebrne i jeden brązowy.

Koniec wspaniałej e

Zawsze w życiu przychodzi moment, kiedy musisz się pożegnać. Odchodzę dla dobra klubu, żeby miał szansę wygrać Superligę - po 12 latach trener Tałant Dujszebajew rozstaje się z Industrią Kielce i Polską.

W piątek, 24 kwietnia, po godzinie 15 Tałant Dujszebajew spotkał się z zawodnikami i sztabem szkoleniowym Industrii. Razem z pełniącym obowiązki prezesa wicemistrza Polski Pawłem Papajem poinformowali, że czas 57-letniego szkoleniowca w klubie dobiegł końca. Trener podkreślił, że decyzja nie została podjęta pod wpływem chwili, lecz była wynikiem głębokich przemyśleń oraz wnikliwych rozmów z władzami klubu.

- To jest najlepsza decyzja dla obu stron, a przede wszystkim dla klubu. Jestem głęboko przekonany, że drużyna potrzebuje zmian przed wejściem w decydującą fazę sezonu. Mam nadzieję, że moja decyzja będzie nowym impulsem dla zespołu, który skutecznie powalczy o mistrzostwo kraju - powiedział na odchodne Dujszebajew, przekazując jeszcze w specjalnym nagraniu, zamieszczonym w mediach społecznościowych Industrii, podziękowanie kibicom. - Zawsze w życiu przychodzi moment, kiedy musisz się pożegnać. Dla mnie jesteście najlepsi na świecie, pokazaliście to wiele razy. Odchodzę dla dobra klubu, żeby miał szansę wygrać Superligę - ukłonił się z wielką estymą.

Z pełnym zrozumieniem

Z kolei klub, dziękując trenerowi za lata pracy, zaangażowanie oraz wspólne chwile, życząc powodzenia w dalszej karierze zawodowej, zaznaczył, iż przyjmuje tę decyzję z pełnym zrozumieniem motywacji trenera oraz w poczuciu odpowiedzialności za dalszy rozwój zespołu. Jednocześnie oświadczył, że współpraca z trenerem Dujszebajewem była okresem „pełnym sportowych emocji” oraz „wielkich zwycięstw”, a wkład szkoleniowca w budowanie pozycji drużyny w Europie pozostaje „nieoceniony”. „Na szczegółowe podsumowania i podziękowania przyjdzie odpowiedni moment. Mamy nadzieję, że będziemy mogli je wyrazić przy najlepszej okazji, przy pełnej hali na meczu o najwyższą stawkę, które wciąż przed nami” - podkreślono, informując jednocześnie, że do końca trwających rozgrywek zespół poprowadzi dotychczasowy asystent Krzysztof Lijewski. To na nim spocznie odpowiedzialność za przygotowanie drużyny oraz walkę o tytuł mistrza kraju, co jest najważniejszym celem zespołu.

Szok nad Wisłą

Tymczasem w kraju wybuchła bomba. Telewizje informowały o nagłej rezygnacji legendy, która przecież miała kontrakt na kolejny

sezon. Media pisały o szoku, sensacyjnym rozstaniu, rozpisywały się o trzęsieniu ziemi w Kielcach. Podkreślały, że skończył się jeden z najważniejszych etapów w historii kieleckiego klubu i polskiej piłki ręcznej. „Kapitulację” słynnego kirgiskiego wojownika łączyły z ostatnimi tygodniami, które przyniosły wielkie rozczarowanie. Choć kieleccy piłkarze ręczni zdobyli w tym sezonie Superpuchar Polski, to w Lidze Mistrzów odpadli na etapie 1/8 finału, a lepszy do nich w dwumeczu był węgierski OTK Bank-Pick Szeged. Industria nie zdobyła również Pucharu Polski, przegrywając w półfinale z Orlenem Wisłą Płock, odwiecznym i największym rywalem. Te porażki z przelały czarę goryczy. Dało się odczuć coraz mniejszą chemię między trenerem a zarządem i sponsorami klubu.

Ambicje sięgały wyżej

- Nasze ambicje sięgały znacznie wyżej niż play off Ligi Mistrzów - powiedział Paweł Papaj, p.o. prezesa, gdy wicemistrzowie Polski tylko zremisowali (32:32) w Hali Legionów z OTP Bank-Pick Szeged (musieli odrobić 3 bramki z pierwszego spotkania) odpadli z elitarnych rozgrywek. Oceniając spotkanie, wskazał na niewykorzystany potencjał i błędy w zarządzaniu jego końcówką. - Zawaliliśmy ten mecz. Wszystko mieliśmy

w swoich rękach, wyszliśmy na prowadzenie w dwumeczu, a na dodatek byliśmy przy piłce. W decydującej fazie drużyna powinna zachować więcej zimnej krwi, grać spokojniej i maksymalnie wydłużać akcje, aby kontrolować upływający czas - ocenił mocno rozczarowany szef klubu i dywagował dalej. - Może zbyt pewnie stawialiśmy się w roli faworytów... Po sześciu wygranych z rzędu w fazie grupowej wpadliśmy w wielką euforię i myśleliśmy, że wrota do Final Four w Kolonii są dla nas otwarte. My jesteśmy Iskrą Kielce. Nie jesteśmy klubem, który może się zadowolić tym, że jest w play offie Ligi Mistrzów. Zawsze gramy o zwycięstwo - zaznaczył stanowczo Papaj, zwracając uwagę na kolejną kwestię. - Liga Mistrzów stanowi główny magnes dla kibiców, gwarantując wysoką frekwencję na trybunach, której trudno byłoby oczekiwać wyłącznie przy rozgrywkach krajowych. Bez niej niemożliwe byłoby utrzymanie zespołu na światowym poziomie i przyciągnięcie kibiców na trybuny. Liga Mistrzów stanowi fundament funkcjonowania, choć jej aspekt finansowy znacząco odbiega od piłki nożnej (zwycięzca LM otrzymuje łącznie około miliona euro nagród za cały sezon, podczas gdy sam udział w wielkim finale daje czwartej drużynie jedynie około 75 tys. euro. System premiowania opiera się na konkretnych stawkach - 10 tys. euro za każdy rozegrany mecz oraz 5 tys. euro za każ-



Największym sukcesem Tałanta Dujszebajewa było bez wątpienia zwycięstwo z...

dy zdobyty punkt - przyp. red.). Wyjazdy do odległych i drogich destynacji, takich jak Francja, Portugalia czy kraje skandynawskie, często balansują na granicy opłacalności - nie ukrywał p.o. prezesa kieleckiego klubu. - Suma lotu, hoteli, wyżywienia czasami równa się ewentualnemu bonusowi za rozegranie meczu, więc nic się nie zarobi. Można wyjść na zero. Gorzej jeśli się przegra, bo wtedy niejednokrotnie dokłada się do takiego wyjazdu.

Bielecki, Jurecki i Szał tłumaczami

Tałant Dujszebajew pracę w Kielcach rozpoczął 8 stycznia 2014 roku. Pocho- dzący z Kirgistanu szkoleniowiec, który ma także obywatelstwo hiszpańskie, zastąpił Bogdana Wentę. Drużyna występowała wtedy pod nazwą Vive Targi Kielce, w jej barwach grali m.in.: Piotr Grabarczyk, Mateusz Jachlewski, Tomasz Rosiński, Karol Bielecki, Krzysztof Lijewski (obecny trener) i Sławomir Szał

DNI, KTÓRE ZMIENIŁY WSZYSTKO

■ Już wiadomo, że Tałant Dujszebajew zostanie uroczystie i oficjalnie pożegnany przy okazji piątkowego półfinału z Ostrovią w kieleckiej Hali Legionów. W tygodniu poprzedzającym to wydarzenie Kirgiz odniósł się do licznych plotek i niedomówień związanych z jego zaskakującym odejściem z klubu. - Przy okazji meczu Ligi Mistrzów ze Sportingiem Lizbona rozmawiałem z moim menedżerem o swojej przyszłości. Mimo że miałem oferty z innych klubów, chciałem dalej pracować w Kielcach. Prowadziłem nawet z klubem rozmowy na temat przedłużenia umowy do 2031 roku, ale wydarzenia ostatnich 10 dni zmieniły wszystko. Najpierw był przegrany dwumecz z Pickiem Szeged, po-

tem przegrany półfinał Pucharu Polski z Orlen Wisłą Płock. Ten ostatni mecz był dla mnie prawdziwym wstydem. Po raz pierwszy zespół, który prowadziłem, nie walczył. To też była oczywiście moja wina. Powiedziałem to wszystkim zawodnikom po spotkaniu. To, co wtedy wydarzyło się w szatni, musi tam pozostać, jednak od tego momentu nasze drogi zaczęły się rozchodzić. W mediach pojawiły się informacje o moim konflikcie z zespołem. Napisa- no, że wszyscy byli przeciwko mnie, nie chcieli wyjść na treningi i tak dalej. Powiem tylko, że opublikował to obrażony dziennikarz „Przeglądu Sportowego”, z którym nie rozmawiam od 2017 roku i nie odbieram od niego telefonu. Jeśli w ten sposób chciał wy- równać ze mną rachunki, to

niech sobie pisze, co chce. Ja z tym nie mam żadnych problemów. Wiele ludzi do mnie dzwoni i pyta, czy zawodnicy byli przeciwko mnie. Na ten temat nie będę się wypowiadał. To, co wydarzyło się w szatni, zostaje w szatni. Na zewnątrz nigdy z mojej strony nie wyjdzie nic negatywnego. Od ponad dwóch dekad pracuję jako trener. Wiem, co mówię i wiem, jak ma być. Nigdy nie sądziłem, że będę pracował tutaj tak długo. Spędziłem tu dziesięć lat z moim synem Aleksiem i osiem z Danielem. W Kielcach urodzili się moi dwaj wnukowie, więc miałem w głowie jedno - tutaj chcę zakończyć karierę. Wy- szło jednak inaczej, niż sobie zaplanowałem. Zawsze będę kochał ten klub i to miasto. Zawsze będę kibicem Iskry Kielce.



Po raz ostatni ze złotego medalu mistrzostw Polski trener Dujszebajew cieszył się przed trzema laty; z prawej obecny p.o. prezesa Industrii, Paweł Papaj.

Spoki



Wycięstwo w Lidze Mistrzów w 2016 roku.

(obecny prezes ZPRP), a także Julen Aginagalde (obecny członek sztabu reprezentacji Polski), a prezesem był Bertus Servaas, przedsiębiorca narodowości, zawiadujący klubem przez 21 lat... Początki pracy trenera Dujzebajewa pamiętam bardzo dobrze. Pierwszy raz spotkaliśmy się w Hali Legionów, krótko po mistrzostwach Europy. Przed zajęciami trener poprosił mnie, Karola Bieleckiego, Michała Jureckiego i Sławka Szmalę, byśmy mu pomagali w komunikacji z resztą zespołu. Nie mówił



Trener Dujzebajew na siedząco to raczej rzadki widok...

bowiem jeszcze po polsku, ale znał niemiecki, a my - ponieważ wcześniej graliśmy w Bundeslidze - też znaliśmy ten język. Pomagaliśmy więc w tłumaczeniu pewnych przekazów, którymi chciał dotrzeć do zawodników. Trener od razu złapał z nami dobry kontakt, ale kiedy gwizdnął i rozpoczął trening, to wzięliśmy się do ciężkiej pracy. Pamiętam, że pokazał nam ćwiczenie, z którym mieliśmy sporo problemów. Chodziło o to, by kozłować piłkę i poruszać się bok... Nie za bardzo wiedzieliśmy, jak się w tym odnaleźć... To było proste ćwiczenie, a mieliśmy z nim problem. Wtedy do nas dotarło, że chce wprowadzić nową filozofię i sposób myślenia o piłce ręcznej. Swoją charakterystycznym doświadczeniem „kupił” wszystkich. Każdy z nas słuchał go uważnie i chciał się jak najwięcej nauczyć. Już pierwszego dnia przekazał nam wiele informacji taktycznych i pokazywał, jak oczekuje, byśmy grali. Tych informacji było bardzo dużo, a czasu, by je przyswoić

- wprost przeciwnie. Trener od początku był wobec nas bardzo wymagający - wspomina początki współpracy Krzysztof Lijewski, wtedy zawodnik, a później „prawa ręka” Dujzebajewa.

Sukces za sukcesem

Lista sukcesów Tałanta Dujzebajewa z kieleckim zespołem jest bardzo długa. W ciągu 12 lat poprowadził go do największych sukcesów w historii. Na krajowym podwórku wywalczył 10 tytułów mistrza Polski (nieprzerwanie w latach 2014-23) i siedmiokrotnie (2014-19, 2021) sięgał po Puchar Polski oraz po Superpuchar (2025). Pod jego wodzą drużyna pięciokrotnie brała udział w Final Four Ligi Mistrzów, zdobywając - oprócz złota w 2016 roku - dwa srebrne (2022, 2023) i brązowy (2015) medal... We wspomnianym 2016 roku, jako pierwszy zespół w historii polskiej piłki ręcznej, występujący pod nazwą Vive Kielczanie, w nadzwyczajnych okolicznościach sięgnęli po złoto Ligi Mistrzów. Do 46 minuty finałowego starcia prze-

grywali z Telekomem Veszprem 19:28, ale po heroicznej pogoni, fantastycznej postawie Sławomira Szmalę w bramce, kontratakach Tobiasza Reichmanna i trafieniu Krzysztofa Lijewskiego w... ostatniej sekundzie podstawowego czasu gry doprowadzili do remisu. Dogrywka rozstrzygnięcia nie przyniosła i potrzebne były rzuty karne. Dwie „siódemki” obronili Szmal i Marin Szego, a decydujący rzut oddał wspomniany Julen Aginagalde. - To był niesamowity mecz, w którym zespół pokazał, że nic nie jest w stanie go złamać. Pojedynek sprzed dekady na zawsze pozostanie w mojej pamięci - mówił wyraźnie wzruszony były trener kieleckich szczyptornistów. Niestety, po latach Dujzebajew z pesymizmem patrzy na szansę szybkiego powtórzenia tego sukcesu przez polski klub. Szkoleniowiec krytycznie ocenia przede wszystkim brak długofalowego myślenia. Zauważa, że obecnie zbyt często patrzy się jedynie na to, co jest tu i teraz. Jego zdaniem, na powrót do światowej czołówki polscy kibice będą musieli długo czekać. - Z całym szacunkiem dla reprezentacji, które prowadziłem wcześniej, praca z kadrą Francji to jak przesiadka z Fiata Uno do bolidu Formuły 1 - określał obrazowo dystans, jaki brakuje nam do czołówki. - Kluczem jest słowo „cierpliwość”. Ta złota generacja zawodników, która dała Polsce tyle radości, skończyła karierę. Ci zawodnicy dali z siebie wszystko dla reprezentacji oraz kraju i teraz trzeba będzie poczekać na ich następców... - mówił Kirgiz.

Tylko trochę odpocznie

Mimo odejścia z klubu zadeklarował, że pozostanie kibicem Industii. - W Kielcach spędziłem najwięcej czasu w mojej karierze, bo ponad 12

lat. Przeżyłem tutaj wiele wspaniałych chwil, których nigdy nie zapomnę. Ten klub zawsze będzie mi bliski - podsumował Dujzebajew i przyznał, że teraz zamierza odpocząć, jednak nie kończy pracy z piłką ręczną, gdyż od lutego pełni funkcję selekcjonera reprezentacji Francji; przygoda z „Trójkolorowymi” rozpoczęła się od zwycięstwa i remisu (29:26 i 25:25) w towarzyskim dwumeczu z Hiszpanią, której czołowymi postaciami są jego synowie, Alex i Daniel, żegnający się z Kielcami po sezonie i przenoszący się do Bundesligi. Dla szkoleniowca, który w przeszłości był selekcjonerem Biało-czerwonych - zajął 4. miejsce w igrzyskach olimpijskich w Rio de Janeiro w 2016 roku - to powrót po do reprezentacyjnych emocji po 9 latach. Co ciekawe, losowanie eliminacji mistrzostw Europy 2028 skrzyżowało drogi dwóch reprezentacji szczególnie bliskich Dujzebajewowi. Trójkolorowi trafili bowiem do grupy z Polską, Rumunią i Łotwą. - Życie pisze dla mnie przewrotne scenariusze. Pierwszy mecz w roli selekcjonera reprezentacji Francji zagrałem przeciwko Hiszpanii, swojej drugiej ojczyźnie, a teraz los skojarzył mnie z Polską. Brakuje mi tylko, żeby na najbliższych mistrzostwach świata być w grupie z Węgrami i los będzie już kompletny - podkreślił, nawiązując do faktu, że w przeszłości prowadził także kadrę Madziarów. - To będą dla mnie wyjątkowe mecze, tym bardziej że w przyszłym roku, jeśli nadal będę trenerem Industii, minie 13 lat, od kiedy jestem w Kielcach (kolejny sygnał, że przeczuwał swoją dymisję - przyp. red.). To będzie coś niesamowitego zagrać przed polską publicznością i przeciw reprezentacji Polski - przyznał z rozrzewieniem.

Zbigniew Cieńciała

CZY WIESZ, ŻE...

■ Tałant Dujzebajew urodził się 2 czerwca 1968 roku we Frunze w Kirgistanie. W latach 1983-92 bronił barw CSKA Moskwa. Potem grał w hiszpańskim Teka/Cantabria Santander (1992-97, wygrana w Lidze Mistrzów w 1994, Puchar EHF w 1993, dwa tytuły mistrza kraju), niemieckich TuS Nettelstedt (1997-98) i GWD Minden (1998-2001) oraz w hiszpańskim Ciudad Real (2001-07, wygrana w Lidze Mistrzów (2006), Puchar Zdobywców Pucharów (2002, 2003), dwa mistrzostwa kraju).

■ Kirgiz grał też w reprezentacjach ZSRR, Wspólnoty Niepodległych Państw (mistrzostwo olimpijskie w 1992), Rosji (mistrzostwo świata w 1993) oraz Hiszpanii (brąz olimpijski w 1996 i 2000, mistrzostwo świata w 2005, wicemistrzostwo Europy w 1996 i 1998, brązowy medal mistrzostw Europy w 2000).

■ Dwukrotnie (1994, 1996) został najlepszym piłkarzem ręcznym świata, a do tytułu mistrza olimpijskiego w Barcelonie (1992) dotożył koronę króla strzelców - 47 bramek w siedmiu meczach.

■ Przed przyjazdem do Kielc prowadził BM Ciudad Real (2005-11 wygrane w Lidze Mistrzów w 2008 i 2009, dwa mistrzostwa Hiszpanii) oraz Atletico Madryt (2011-13).

■ W latach 2014-16 prowadził kadrę narodową Węgier, a w latach 2016-17 był selekcjonerem reprezentacji Polski, plasując się tuż za podium na igrzyskach w Rio.

■ Jego żoną jest Olga Szyszkińska, była bramkarka, mistrzyni świata z 1990 roku w barwach ZSRR, z którą ma synów Aleksa i Daniela. Obaj są rozgrywanymi, reprezentują Hiszpanię i również żegnają się z Kielcami oraz Polską. Od kilku miesięcy wiadomo, że przenoszą się do Niemiec - Alex do VfL Gummersbach, a Daniel do MT Melsungen.

■ Tałant Dujzebajew jest poliglotą. Biegły mówi w języku kirgiskim, rosyjskim, hiszpańskim, niemieckim, angielskim, węgierskim i polskim.



...bo najczęściej po prostu żyje szpilem!

Rewolucja cierpliwości

Czy polskie kluby w końcu zrozumiały, że stabilizacja popłaca?

ORLEN BASKET LIGA

Stałość i spokój od lat nie były mocnymi stronami naszych klubów. Ciągłe roszady w składach, często zaskakujące zmiany trenerów to codzienność polskiej ekstraklasy. To przekłada się na wyniki w lidze oraz europejskich pucharach.

Wydaje się, że w ostatnim czasie przynajmniej niektóre kluby Orlen Basket Ligi zaczynają myśleć długofalowo.

Dąbrowa Górnicza: Planowanie pod okiem fachowców

Dobrym przykładem jest to, co teraz dzieje się w MKS-ie Dąbrowa Górnicza. Odkąd dyrektorem sportowym został Michał Dukiewicz, klub wydaje się zmierzać w dobrym kierunku. MKS już jest prawie pewien awansu do fazy playin, powoli kompletuje kadrę na nowy sezon. Dobrym strzałem okazało się postawienie na polskiego trenera – Artur Gronek, który przez lata zbierał doświadczenie w sztabie reprezentacji Polski, gwarantuje fachowość i znakomite przygotowanie taktyczne oraz przedmeczowy skauting. Nic dziwnego, że zagłębiowski klub przed dwoma tygodniami poinformował o przedłużeniu kontraktu Gronka o kolejne dwa lata z opcją prolongaty o kolejny sezon. Dodatkowo drugi trener Maciej Raczyński też już ma umowę na kolejny sezon. To nie koniec – MKS w nowym sezonie może liczyć na Marcina Piechowicza (kapitan ma kontrakt do końca sezo-

nu 2026/27) oraz reprezentanta Czech Martina Peterkę (ostatnio podpisał umowę do czerwca 2027).

Północny model sukcesu: Sopot i Warszawa stawiają na kontynuację

Długofalowo myślą też w Sopocie i Warszawie. Tam już od dawna wiadomo, kto będzie trenerem w kolejnym sezonie. Legia latem ubiegłego roku podpisała trzyletnią umowę z Heiko Rannulą, więc zostanie on w stolicy do końca sezonu 2027/28. Estończyk w szybkim czasie zmienił oblicze Legii, doprowadził zespół do mistrzostwa Polski, a w tym sezonie co najmniej do drugiego miejsca w sezonie zasadniczym.

W Sopocie kontrakt Miko Larkasa będzie obowiązywał co najmniej do końca sezonu 2026/2027. Nic dziwnego, bo Fin po niespełna roku pracy ma już na koncie wymierne sukcesy – zdobycie Pucharu Polski, finał Superpucharu oraz miejsce w czołowej szesnastce Europe Cup!

Trefl także się nie wahał, by podpisać długoterminowy kontrakt z Jakubem Schenkiem – kadrowicz ma gwarantowaną umowę w Trójmieście aż do roku 2028! Trudno się jednak dziwić władzom klubu, bo Schenk doprowadził zespół do mistrzostwa Polski oraz brązowych medali, ma też na koncie statuetkę dla MVP finałów. Podobnie długą umowę ma Mikołaj Witliński, środkowy reprezentacji Polski.

Zielona Góra i Szczecin: Budowanie wokół sprawdzonych liderów

Budowę na lata założyli sobie także w Zielonej Górze. Arkadiusz Miłoszewski zamienił Szczecin na Winny Gród, bo obiecano mu kontrakt na trzy lata. Szkoleniowiec, który z Kingiem zdobył mistrzostwo Polski, w Zastalu podpisał kontrakt do końca sezonu 2027/28. W kolejnym sezonie w Zielonej Górze zobaczymy też byłego rozgrywającego reprezentacji Andy'ego Mazurczaka.

W Szczecinie tymczasem kibice Wilków Morskich w kolejnych rozgrywkach nadal będą oglądać Tomasza Gielo, Jovana Novaka oraz Przemysława Żołnierewicza (wszyscy mają umowy do czerwca 2027). – Jako organizacja jesteśmy bardzo zadowoleni z przedłużenia umowy z Przemkiem na kolejny sezon. Bardzo chcieliśmy, żeby ta współpraca była kontynuowana. „Żołnierz” jest kolejnym zawodnikiem, wokół którego chcemy i możemy budować zespół. Ciągłość składu jest dla nas bardzo ważna, a przedłużając z Przemkiem umowę na kolejny sezon mamy także gwarancję zaangażowania dużej klasy zawodnika. On na pewno pomoże naszemu zespołowi w walce o najwyższe cele – mówił po podpisaniu kontraktu z Żołnierewiczem Maciej Majcherek, trener Kinga Szczecin.

Wszystko wskazuje na to, że czas nerwowych ruchów odchodzi do lamusa, a w ich miejsce wchodzi profesjonalne planowanie, które wkrótce może stać się nowym standardem polskiej koszykówki. Oby tak się stało! (pp)

Olejniczak bez pudła!

Polski środkowy zaliczył świetny występ we Włoszech.



Dominik Olejniczak znowu zagrał bardzo dobry mecz w Serie A.

POLACY ZA GRANICĄ

W lidze włoskiej Bertram Derthona Tortona pokonał u siebie Germani Brescia (88:80), a Dominik Olejniczak w 15 minut zdobył 10 punktów i zebrał 5 piłek. Nasz środkowy nie mylił się przy rzutach, trafił wszystkie 5 z gry! W tabeli też byłego rozgrywającego reprezentacji Andy'ego Mazurczaka.

Zaskakująca sytuacja w lidze hiszpańskiej – mecz w Badalonie pomiędzy Joventutem a Unicają został przerwany po pierwszej połowie przy stanie 53:33. Według oficjalnego komunikatu Ligi Endesa, mecz nie mógł być kontynuowany z powo-

du awarii elementów elektronicznych wewnątrz hali. W momencie przerwania spotkania Aleksander Balcerowski miał na koncie 2 punkty i 3 zbiórki. Jeszcze przed wylotem do Badalony hiszpańskie media donosiły, że Polak wykonał specjalny trening rzutów osobistych. „Gracz Unicaji, Olek Balcerowski, znalazł rozwiązanie na to, co wydarzyło się w meczu przeciwko Dreamland Gran Canaria: powrót do treningów. Przy łącznym bilansie 6/14 z linii rzutów wolnych Polak dąży do tego, aby nie powtórzyć tak słabych statystyk” – poinformowało Radio Marca Malaga.

Michał Sokołowski był jednym z liderów Pinar

Karsiyaka w wyjazdowym meczu 29. kolejki ligi tureckiej, jednak jego zespół uległ Tofasowi Bursa 78:87. Reprezentant Polski spędził na parkiecie blisko pół godziny – najwięcej w drużynie gości – zapisując na swoim koncie 15 punktów (2/6 za trzy, 7/10 z wolnych), 3 zbiórki oraz 2 asysty. Dzień wcześniej powody do zadowolenia mieli inni kadrowicze. Anadolu Efes Stambuł rzutem na taśmę pokonał Mersin Spor 88:86, a Jordan Loyd przyczynił się do wygranej, zdobywając 16 punktów. Z kolei Bahcesehir Kolejki wysoko pokonał Aliagę Petkim Spor 95:76. Mateusz Ponitka w ciągu 18 minut gry rzucił 11 punktów i zebrał 3 piłki.

W Portugalii rozgrywano finałowy turniej Pucharu Ligi. W wielkim finale Sporting minimalnie pokonał Benfikę 79:77. Aleksander Dziewa był na boisku 23 minuty, w tym czasie zanotował 8 punktów, 7 zbiórek i 3 asysty. W półfinale Benfica wygrała z Oliveirense (104:76), a Polak kończył mecz z dorobkiem 7 punktów, 2 zbiórek, 2 przechwyty, przebywając na boisku 14 minut.

(pp)

Demolka w Madison Square Garden

Nowojorczycy nie zwalniają tempa. O ich sile tym razem przekonali się Sixers.

NBA

Wnocy z poniedziałku na wtorek odbyły się pierwsze półfinały. W Konferencji Wschodniej Knicks rozbili Sixers. Zespół z Filadelfii, który dwa dni wcześniej sensacyjnie wyeliminował Celtics, w Nowym Jorku nie miał za wiele do powiedzenia. Gospodarze wygrali wszystkie cztery kwarty, w pewnym momencie prowadzili nawet 40 punktami. Znakomicie zagrał Jalen Brunson (35 punktów, 8/8 osobiste), OG Anunoby dołożył 18 punktów, trafiając 7 z 8 rzutów, natomiast Karl-Anthony Towns i Mikal Bridges zdobyli po 17 „oczek”.

Knicks zostali pierwszą drużyną w historii NBA, która wygrała trzy kolejne mecze w postseason różnicą co najmniej 25 punktów. – Gramy dobrze, ale to nie będzie miało znaczenia, jeśli nie znajdziemy sposobu na odniesienie kolejnych trzech zwycięstw. Musimy po prostu trzymać się wyznaczonego zadania – na chłodno komentował Towns.

Po tym, jak przegrywali 1:2 w serii z Atlantą, Knicks wygrali cztery kolejne spotkania

łączną różnicą 135 punktów. Według danych Sportradar są pierwszą drużyną od sezonu 1996/97 (od kiedy prowadzone są szczegółowe statystyki meczowe), która przegrała w trzech kolejnych meczach play off różnicą co najmniej 30 punktów.

Brunson podkreślił, że koncentracja i dbałość o szczegóły w grze Knicks uległy poprawie od momentu, gdy musieli gonić wynik w poprzedniej serii. – Oczywiście przełożyło się to na wysokie zwycięstwa, ale ta dbałość o detale pomoże nam również w wyrównanych końcówkach – stwierdził rozgrywający Nowojorczyków.

Ani minuty nie zagrał Jeremy Sochan. Nasz zawodnik pojawił się w protokole kontuzjowanych z powodu nadczyrzenia ścięgna udowego. Uraz wydaje się drobny, bo zawodnik był na ławce rezerwowych i w razie problemów miał być do dyspozycji trenera.

Wielkie emocje towarzyszyły otwarciu serii półfinałowej w San Antonio, gdzie Spurs ulegli dwoma punktami Minnesocie. Zaskoczeniem był powrót Anthony Edwardsa do składu Timberwolves. Spo-

dziewano się, że ten koszykarz opuści co najmniej dwa pierwsze mecze serii po tym, jak 25 kwietnia doznał stłuczenia kości i urazu lewego kolana w czwartym meczu pierwszej rundy przeciwko Denver. Tymczasem 24-latek wszedł na boisko z ławki rezerwowych, w 25 minut zdobył 18 punktów i wydatnie pomógł drużynie zdobyć cenną wyjazdową wygraną. – Nikt nie spodziewał się, że zagra. To pokazało poziom jego oddania koszykówce. Nie tylko grze, ale kolegom z drużyny. To znaczyło dla nas bardzo wiele – mówił po meczu weteran Timberwolves Mike Conley.

Goście wygrali, mimo że rewelacyjne zawody rozegrał Victor Wembanyama. Lider Spurs zanotował 11 punktów, 15 zbiórek i... 12 bloków. Ta ostatnia liczba to nowy rekord fazy play off! Wemby jest dopiero trzecim zawodnikiem, który zdobył triple-double w play offach z uwzględnieniem bloków, odkąd liga zaczęła śledzić tę statystykę w sezonie 1973/74.

Wyniki. New York - Philadelphia 137:98 (1-0), San Antonio - Minnesota 102:104 (0-1).

(pp)



Trener Artur Gronek może w Dąbrowie Górniczej spokojnie budować solidne podstawy.

Przygniecieni presją

PLS I. LIGA

Katowiczanie wygrali dwa pierwsze mecze finału i w trzecim, który rozgrywali u siebie przed ponad tysiącem kibiców, mogli zamknąć rywalizację. Presja mocno im jednak ciążyła – od pierwszej piłki grali bardzo nerwowo i popełniali proste błędy. Co innego gracze BBTS-u. Ci nie mieli nic do stracenia, grali na luzie i z zimną krwią wykorzystywali problemy gospodarzy. Mieli też w swoich szeregach Szymona Romacia, który kończył większość ataków, nawet z bardzo trudnych sytuacji. W pierwszym secie przyjezdni wygrali już 20:13. I wtedy nastąpił zwrot – Katowiczanie sukcesywnie odrabiali straty, doszli rywali na punkt (23:24), ale po chwili Grzegorz Pająk zaserwował w aut i było po secie. Wydawało się jednak, że gospodarze złapali rytm i w kolejnych odstanach udowodnią swoją wyższość. Grali lepiej, ale na BBTS okazało się zbyt mało. Czwarty mecz finału odbędzie się w sobotę 9 maja w Bielsku-Białej (godz. 20.00).

Finał (do 3 zwycięstw)

■ GKS Katowice – BBTS Bielsko-Biała 0:3 (23:25, 24:26, 22:25). Stan rywalizacji 2-1.

KATOWICE: Pająk (6), Włodarczyk (10), Hudzik (4), Supertak (14), Quiroga (1), Krulicki (9), Marek (libero) oraz Waloch (libero), Domagała, Gibek, Ferens (11). Trener Emil SIEWIOREK.

BIELSKO-BIAŁA: Thelle (1), Tokajuk (13), B. Zawalski (3), Romac (22), Dębski (13), M. Zawalski (7), Biniek (libero) oraz Chmielewski (libero), Pietruczuk, Siek, Lamanec, Polak. Trener Adrian HUNEK. Sędziowali: Marcin Myszkowski i Tomasz Janik (objaw Warszawa). Widzów 1141.

Przebieg meczu

I: 7:10, 11:15, 13:20, 23:25.

II: 9:10, 11:15, 19:20, 24:26.

III: 9:10, 15:13, 18:20, 22:25.

Bohater – Szymon ROMAC.

CUK Anioły Toruń zakończył rozgrywki I ligi na trzecim miejscu. W decydującym spotkaniu pokonał Mickiewicza Kluczbork 3:1 (25:22, 28:30, 25:23, 25:23).

(mic)

Koniec albo Sosnowiec

Aluron CMC Warta Zawiercie jest na krawędzi. Porażka w Lublinie oznaczać będzie koniec rywalizacji i marzeń o pierwszym mistrzostwie kraju.

PLUSLIGA

Jurajscy Rycerze finałową rywalizację z obrońcą tytułu, Bogdanką LUK Lublin, rozpoczęli w imponującym stylu. W pierwszym meczu pokazali moc, zmietli rywali z parkietu i od razu okrzyknięci zostali murowanymi faworytami. Bartosz Kwolek, jeden z liderów zawierciańskiego zespołu, już wtedy jednak przestrzegał przed przypisywaniem jego drużynie złota. – To dopiero pierwszy krok. Trzeba postawić jeszcze dwa, bo za tak wspaniałym meczem nie dają złotych medali – studził emocje.

Odwrócone role

Słowa Kwolka się ziściły i po dwóch kolejnych starciach role się odwróciły. Lepsi byli w nich Lublinianie i teraz oni są bliżej tytułu. Do wywalczenia drugiego z kolei mistrzostwa Polski potrzebują tylko jednej wygranej. Mogą to osiągnąć to już we środę przed własną publicznością. – Siatkówka, generalnie sport, uczy pokory. Uczy tego, żeby nigdy, nikogo nie skreślać, żeby zawsze podchodzić do swojej pracy, do swoich obowiązków w pełni profesjonalnie i z zaangażowaniem, bo nigdy nie wiesz, jak się kolejny mecz potoczy. Zagrałiśmy słabo w pierwszym spotkaniu, ale wiedzieliśmy, co musimy zrobić na treningach, żeby wygrać w kolejnych meczach. Dlatego super, że teraz jest 2-1 dla nas. Jesteśmy blisko, ale zespół z Zawiercia zrobi wszystko, żeby jeszcze tę rywalizację przywrócić do Sosnowca i doprowadzić do

piątego starcia – stwierdził kapitan i rozgrywający Bogdanka LUK, Marcin Komenda.

Kosztowne błędy

Fani Jurajskich Rycerzy przed meczem w Lublinie wielkich powodów do optymizmu nie mają. Ich drużyna gra bowiem coraz słabiej. Zaczęła z wysokiego pułapu, potem – w pierwszym spotkaniu w Lublinie – stoczyła wyrównany bój, w którym była bliska doprowadzenia przynajmniej do tie-breaka, by w ostatnią sobotą dość gładko ulec w Sosnowcu. Zawiercianie przede wszystkim popełniają proste błędy. Nie trafiają z zagrywki i myślą się w ataku. Zdarzają im się również błędy w komunikacji, a przecież organizacja gry jest ich jedną z najmocniejszych stron. Każdy zawodnik wie, co ma robić. – Od ostatniego meczu w Lublinie nie umiemy odnaleźć swojej gry. Siedliśmy w zagrywce, nie prezentujemy takiego poziomu jak wcześniej. Mamy mnóstwo kontrataków, ale nie potrafimy

ich wykorzystywać. To nominalnie był nasz atut – przyznał Miłosz Zniszczoł, środkowy Aluronu CMC Warta. – Musimy się zebrać. Trener przed spotkaniem (sobotnim w Sosnowcu – przyp. red.) powiedział, że mamy sześć setów do wygrania, żeby sięgnąć po złoto i... nadal pozostaje nam te sześć setów. Stoimy w miejscu. Teraz bez presji pojedziemy do Lublina i mam nadzieję, że wrócimy do Sosnowca – dodał z nadzieją.

Zdecyduje siła mentalna

Zdaniem Michała Winiarskiego, trenera siatkarzy z Zawiercia, przed spotkaniem numer 4 niewiele trzeba zmienić. O porażkach decydowały bowiem nie umiejętności siatkarskie, lecz nastawienie mentalne. – To jest finał PlusLigi, to są mecze, w których mentalność odgrywa kluczową rolę. Każdy wie, o co gramy. Gdy bardzo się chce wygrać, a my chcemy zdobyć złoto, nie zawsze wszystko wychodzi. Stąd te błędy. Ale trzeba też przyznać, że

rywale zegrali bardzo dobrze, zwłaszcza w ataku. Nawet jeśli trafialiśmy serwisem, a oni nie najlepiej przyjęli piłkę, to kończyli akcje na podwójnym i potrójnym bloku – wyjaśnił Winiarski.

Zgodził się z nim atakujący lubelskiego zespołu i były członek Jurajskiej Armii, Mateusz Malinowski. – W trzecim spotkaniu chyba pierwszy raz zanotowaliśmy więcej asów niż przeciwnicy. Bardzo się cieszymy, bo zagrałiśmy naprawdę świetny mecz. „Poculiśmy krew” u siebie w Lublinie, poculiśmy, że jesteśmy w stanie ich pokonać. Mentalność miała kluczowe znaczenie – powiedział.

Mimo trudnej sytuacji, w Zawierciu nikt nie zwiesza głów. – Żeby wywalczyć mistrzostwo kraju, trzeba wygrać trzy razy. Zrobimy wszystko, żeby doprowadzić do piątego meczu – zadeklarował trener Winiarski.

(mic)

Finał (do trzech zwycięstw)

Środa, 6 maja

LUBLIN, 20.00: Bogdanka LUK – Aluron CMC Warta Zawiercie (stan rywalizacji 2-1)

03. miejsce (do trzech zwycięstw)

RZESZÓW, 17.30: Asseco Resovia – PGE Projekt Warszawa (1-2)



Zawiercianie muszą poprawić grę, by złoto nie przeszło im koto nosa.

Fot. PressFocus

Wałcz zamiast Szczyrku

Polki rozpoczęły przygotowania do sezonu reprezentacyjnego. Punktem kulminacyjnym będą rozgrywane na przełomie sierpnia i września mistrzostwa Europy.

REPREZENTACJA KOBIEC

Bazą Biało-czerwonych drugi raz z rzędu jest Wałcz. Wcześniej trenowały w Szczyrku.

– To świetny ośrodek, który dysponuje przede wszystkim dużą, nowoczesną halą sportową. To był też pewien argument przy wyborze Wałcza. Halę można podzielić na trzy sektory i pracować jednocześnie na trzech bo-

iskach. Siłownia jest także dużo większa, poza tym to jest piękna okolica. Nie rezygnujemy ze Szczyrku, tam będą trenować kadrowiczki, które nie polecą na turnieje Ligi Narodów. Poza tym będziemy tam przygotowywać się w sierpniu do mistrzostw Europy – powiedział Nicola Vettori, asystent selekcjonera Stefano Lavariniego.

W pierwszych treningach uczestniczy 15 zawodniczek,

kolejne pojawią się w najbliższych dniach. – Dziewczyny z DevelopResu Rzeszów i Budowlanych Łódź, które występowały w finale ekstraklasy, przyjadą do Wałcza na początku przyszłego tygodnia. Najpóźniej dotrze do nas Magdalena Stysiak, która w niedzielę grała jeszcze w finale Lig Mistrzyń – wyjaśnił Vettori.

Siatkarki w Wałczu będą trenować przez najbliższe dwa tygodnie. Pierwszym i jedynym sprawdzianem przed startem Ligi Narodów będzie występ w turnieju towarzyskim w Genui (22-24 maja). Oprócz Polek wezmą w nim udział reprezentacje Serbii, Włoch i Turcji.

– Nie planujemy rozgrywania dodatkowych sparingów, bo nie ma tak naprawdę kiedy. Rok temu przed Ligą Narodów brakowało nam przetarcia z przeciwnikami z najwyższej półki, teraz zagramy naprawdę z konkretnymi zespołami – przyznał asystent Lavariniego.

Pierwszy turniej LN biało-czerwone rozpoczną w Nankin 3 czerwca. W Chinach zagrają cztery spotkania – z gospodyniami imprezy, Belgią, Czechami i Serbią. Później czekają je jeszcze turnieje w Tajlandii oraz Japonii. Faza pucharowa z udziałem ośmiu najlepszych zespołów po rundzie zasadniczej odbędzie się w Makau.

KADRA W WAŁCZU

Rozgrywające

Julia Bińczycka, Alicja Grabka, Gabriela Makarowska-Kulej, Katarzyna Wenerska

Przyjmujące

Martyna Czarniańska, Paulina Damaske, Monika Lampkowska, Martyna Łukasik, Natasza Ornoch, Julia Orzół, Julita Piassecka, Weronika Szlagowska

Środkowe

Magdalena Jurczyk, Natalia Kecher, Maja Koput, Anna Obiata, Marta Orzyłowska, Sonia Stefanik

Atakujące

Oliwia Sieradzka, Malwina Smarzek, Magdalena Stysiak, Julia Szczurkowska

Libero

Klaudia Łyduch, Justyna Łysiak, Karolina Pancewicz, Aleksandra Szczygłowska

Trener Stefano LAVARINI

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

ŚRODA, 6 MAJA

TVP 1

20.10 Wiadomości sportowe

TVP 3

16.25, 19.00, 21.52 Przegląd wydarzeń regionalnych

POLSAT

19.30 Wiadomości sportowe

TVN

19.35 Wiadomości sportowe

TVP SPORT

17.55 Futsal: FOGO Futsal Ekstraklasa, Rekord Bielsko-Biała – GI Malepszy Arth Soft Leszno (na żywo); 4.00 Koszykówka: NBA, mecz fazy play off (na żywo)

EUROSPORT 1

15.30 Kolarstwo: La Vuelta Femenina, 4. etap (na żywo); 18.40 Piłka ręczna: Liga Mistrzów, Fuechse Berlin – One Veszprem (na żywo)

POLSAT SPORT 1

11.00 Tenis: Turniej ATP w Rzymie (na żywo); 17.15 Siatkówka: PlusLiga, Asseco Resovia – PGE Projekt Warszawa, 20.00 Bogdanka LUK Lublin – Aluron CMC Warta Zawiercie (na żywo); 2.25 Pn: Copa Sudamericana, Botafogo – Racing Club (na żywo)

POLSAT SPORT 2

17.00, 21.00 Tenis: Turniej ATP w Rzymie (na żywo); 3.25 Pn: Puchar Mistrzów CONCACAF, Deportivo Toluca – Los Angeles FC (na żywo)

POLSAT SPORT 3

19.00 Tenis: Turniej ATP w Rzymie (na żywo); 20.20 Siatkówka: Liga włoska, Sir Sicoma Monini Perugia – Cucine Lube Civitanova (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 1

20.40 Pn: Liga angielska kobiet, Brighton & Hove Albion – Arsenal (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 2

17.15 Siatkówka: PlusLiga, Asseco Resovia – PGE Projekt Warszawa, 20.00 Bogdanka LUK Lublin – Aluron CMC Warta Zawiercie (na żywo);

POLSAT SPORT EXTRA 4

18.55 Koszykówka: Orlen Basket Liga, Anwil Włocławek – Energa Trefl Sopot (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 2

11.00 Tenis: Turniej ATP w Rzymie (na żywo)

CANAL+ EXTRA 1

20.55 Pn: Liga Mistrzów, Bayern Monachium – PSG (na żywo)

CANAL+ SPORT 2

11.00 Tenis: Turniej WTA w Rzymie (na żywo)

Sport

Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny

Tomasz MUCHA

Redaktor wydania Grzegorz KACZMARZYK

e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl

Tel. 322587207

Wydawca

Edicom sp. z o.o.

ul. Hagera 41

41-800 Zabrze

Prezes Ryszard Halemba

Druk: Drukarnia Sosnowiec Polska Press Spółka z o.o., ul. Baczyńskiego 25a; 41-203 Sosnowiec

REMANENT

Czy leci z nami prezes?

Jerzy Chromik



Znów przyszedł maj,
A z majem tży
I czekać mam
Na lepsze dni...
Tak, po mojej małej korekcie,
śpiewał kiedyś zespół Bajm.
Skojarzenie narzuciło się
samo, bo po wyjątkowo zimnej
końcówce kwietnia, i to nie
tylko w Drohiczyńcu, miasteczku
Daniela Olbrychskiego, przyszedł
miesiąc od pierwszych godzin wy-
jątkowy. Na dzień dobry przyniósł
igrzyska śmierci przy Łazienkowskiej
3. Przegrywający spada? Nie tak do
końca, ale na pewno swego przeznaczenia
nie będzie mu od piątku łatwo
oszukać. No to wracajmy do piosenki,
jak do hymnu na szkolnym apelu!
Łzy mogą być szczęścia lub te gor-
sze, po... nieszczęśliwym zdarzeniu.
Legia wepchnęła piłkę do bramki
Widzewa w 97. minucie i stadion był
jak sylwestrowy. A przecież nie tak
dawno płakał po wyrównującym
golku Górnika w doliczonym czasie...
Teraz to Łódzianie przeżyli wstrząs
psychiczny. Taka to gra – jednemu
zabierze, drugiemu da! Cały urok
futbolu.
Znów przyjdzie mi
Nosić przykrótkie sny
Do Łaty, do Łaty, do Łaty
Piechotą będę szedł...
Jak prezes Kulesza na Stadion Na-
rodowy? Na święcie naszej piłki nie



było prezesa PZPN. Los tak chciał?
Nie tak do końca los. Raczej LOT
tak chciał! Zamieszanie na lotnisku
w Vancouver opóźniło odlot, a nasz
samolot rejsowy nie poczekał na
przesiadkę Kuleszy w Toronto. Odle-
ciał do Warszawy bez pasażera nu-
mer 1. Przynajmniej uważającego się
za takiego w polskiej piłce. Ale czyżby
kibice z Częstochowy z tego zakpili?
Rozwiesili bowiem nad swoim sekto-
rem transparent „Orzeł wylądował!”
I niestety zapeszyli, bo orzeł PZPN
nawet nie wzbijał się w powietrze.
Finał na Narodowym był pod dyktando
Zabrzan. Nie czułem się z tym źle, bo to
mój klub pierwszego wyboru. Nie tylko

serca, ale i rozumu. Jak ma się naście
lat i widzi co kilka tygodni w czarno-
-białym odbiorniku telewizyjnym Hu-
berta Kostkę, Stanisława Ośliżkę oraz
Zygryda Szottysika w duecie z Włodzi-
mierzem Lubańskim, to nie może
być inaczej. Podziwiam drużynę ufor-
mowaną przez węgierskiego trenera
Gezę Kalocsaya na mecze w Pucharze
Zdobywców Pucharów. Grali najpierw
z Olympiakosem, potem z Glasgow
Rangers, Lewskim Sofia i wreszcie
mieli trzy niezapomniane mecze z AS
Roma. A na koniec ten deszczowy finał
z Manchesterem City! Kto z nas w Pol-
sce tego doczeka jeszcze przed 2050?
Finał europejskiego pucharu...

– Rzucona moneta, Górnik, Polska!
Mam wciąż w uszach tamten głos
Jana Ciszewskiego! A potem 54 lata
czekania Zabrza na kolejne trofeum
w Pucharze Polski. Im się ten triumf
naprawdę należał, jak kotu karma.
Kotu? Przy okazji więc moja ulubio-
na dykteryjka.
Właściciel pyta swojego pupila:
– Kolację miał?
Słyszysz w odpowiedzi:
– Miauu, miauu!
– No to dobranoc – rzuca kotu na
pożegnanie.
Górnik miał Puchar Polski sześć razy.
I to nawet na własność. No to mają
teraz, od soboty, po raz siódmy.

Nowy! Sześciokrotni triumfatorzy,
Lubański i Ośliżko, zobaczyli to na
własne oczy na trybunach. A pan
Stanisław po 54 latach ponownie
wzniósł puchar.
Na ostatnie minuty wszedł na plac
gry Lukas Podolski i przejął od Erika
Janży opaskę kapitana. Za parę ty-
godni przejmie również klub i będzie
nowym właścicielem. Symboliczna
zmiana, nie tylko pokoleniowa.
Czterdziestolatek za tę miłośność do
Górnika został jednak szybko ukar-
any. Kuzyn Haalanda nie zdzierzył,
nie pogodził się z porażką Rakowa,
więc po bandycku kopnął mistrza
świata. Ten nie podburzał kolegów,
którzy stanęli w jego obronie, tylko
kazał im się rozejść na swoje po-
zycje.
Wygląda powoli na to, że... nie od
razu Raków zbudowano. A teraz
mamy symptomy, że nawet rozebrano.
Najpierw odszedł Kun, po-
tem Papszun, mówią o pożegnaniu
Arsenicia, a klub właśnie rozstał się
z trenerem Tomczykiem. Często-
chowa nie wierzy łzom i oddaje się
modlitwie o lepsze jutro w ligowej
tabeli.
– Zawsze w maju się zaczyna,
potem już kibica trzyma, czasem
nawet kilka lat...
Bywa, że i przez pół wieku. W nie-
pewności. Ale warto poczekać,
warto dożyć takich chwil...

Od pięciu lat słyszę: wrócisz, wrócisz...

Rozmowa z Artiomem Łagutą, liderem Betard Sparty Wrocław

W ostatnim meczu był pan nieuchwytny dla rywali. Bez znaczenia, czy po wygranym starcie, czy po trasie - zawsze można było wpisywać trzy punkty do programu, a na koniec komplet 15 „oczek”. Występ perfekcyjny?

- Przed meczem na pewno bym nie powiedział, że tak będzie, bo wiem, z kim się ścigałem. Wiedziałem, że kilka razy spotkam się choćby z Piotrkim Pawlickim, który w tym roku jest bardzo szybki. Przyznam się, że w ciemno wziąłem 10 punktów (śmiesz). To był plan minimum. Wszystko ponad przyjmuję jako bardzo dobry wynik.

Panu pasowało, ale Sparta bardzo długo męczyła się z Unią Leszno. Jeszcze przed biegami nominowanymi miała tylko 4 punkty przewagi, a skończyło się 50:40...

- Tak, ale to żadne zaskoczenie. Po pierwsze wiedziałem, w jakiej formie jest Unia. To bardzo mocna drużyna, szczególnie na wyjazdach. Żeby zdobyć 4 punkty w Toruniu, trzeba mieć naprawdę konkretnych zawodników. Wszyscy wiemy,

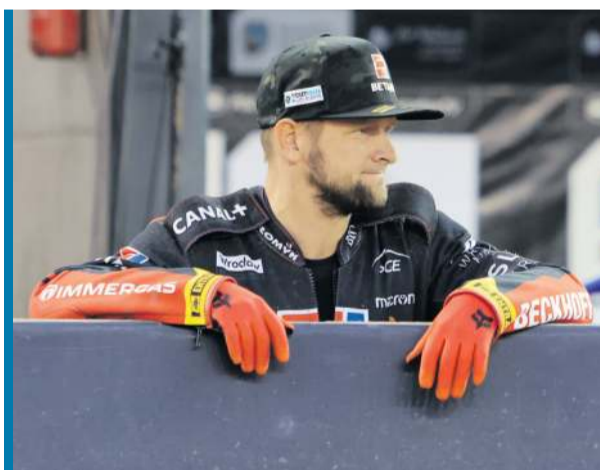
jak ciężko się tam punktuję. Po drugie, leszczyński tor jest podobny do wrocławskiego. Unia, w zasadzie od dobrych kilku lat, a naszym owalu czuje się świetnie.

Zaryzykuję stwierdzenie, że w tym meczu było o wiele więcej mijanek niż podczas kilku rund Grand Prix!

- W cyklu GP jest wiele ciekawych torów. Jak zawodnicy wystartują, tak dojeżdżają do mety, jak na inaugurację w Landshut. Na szczęście jedna z rund GP odbędzie się we Wrocławiu. To na pewno będzie bardzo dobre ściganie, podobnie jak w Manchesterze.

W tym roku we Wrocławiu nie stracił pan jeszcze punktu. Ten tor chyba wybitnie panu pasuje...

- Nie powiedziałbym, że tylko w tym roku. Ten tor mi zawsze pasował, czasami tylko nie mogliśmy doregulować sprzętu, szczególnie jeśli była długa przerwa między biegami. Temperatura też robiła swoje. Czasem wystarczyły 3-4 stopnie różnicy i już trzeba było szykować inny motocykl. W meczu z Leszno na przykład było zdecydowanie cieplej niż podczas spotkania z Zie-



Artiom Łaguta wciąż wypatruje możliwości powrotu do Grand Prix. – Młodszy się nie robię – mówi 35-latek w rozmowie ze „Sportem”.

loną Górą. Silnik wymagał więcej mocy, musieliśmy zrobić korektę z mechanikami. Mam dobrany bardzo dobry silnik na ten tor, jeździę cały czas na tym samym i na razie wszystko gra.

Jeśli tak świetne widowisko oglądamy z beniaminkiem, to mecze z Motorem Lublin czy Apatorem Toruń na Olimpijskim powinny być poezją speedway'a!

- Tak, bo na tym torze potrafią być najciekawsze wyścigi, jakie widziałem. Uwielbiam oglądać wrocławską rundę Grand Prix, bo to są zawsze świetne zawody. Jest dużo

ścigania, a to kibice uwielbiają najbardziej. Jak nie ma ścigania, to nie jest to żużel. Mistrzostwa świata powinny być rozgrywane tylko na torach do walki.

Nie będę po raz enty pytał, czy liczy pan na powrót do Grand Prix. Postawię za to tezę: brak Artioma Łaguty w cyklu mistrzostw świata to ogromna strata. „Dzika karta” dla pana powinna być oczywistością.

- Ohoho! Ja nie wiem, jak organizatorzy do tego podejść. Pytania trzeba kierować do pana prezesa i osób decyzyjnych. Ja mogę tylko

cierpliwie czekać. Co roku słyszę: wrócisz, wrócisz... i tak od pięciu lat (śmiesz). Sportowo na Grand Prix jestem gotowy. Jeśli tylko dostanę zielone światło, to jadę! Nie potrzebuję dodatkowych motywacji. Silniki mam gotowe, team też. Jedynie co musiałbym zrobić, to zarezerwować hotel. Nie robię się młodszy, lat przybywa, więc nie ukrywam, że chciałbym jeszcze powalczyć o medale, tym bardziej że znam już smak mistrzostwa świata. Chciałbym się sprawdzić, czy jestem w stanie zrobić to jeszcze raz.

Kibice z Leszna obrażali pana ze względu na narodowość. To nadal boli, czy puszcza pan to mimo uszu?

- Wie pan co... W 2022 dostałem już tyle wiadomości życzących mi jak najgorzej, że przestałem na to zwracać uwagę. Ilu ludzi, tyle będzie opinii na różne tematy, zarówno sportowe, jak i ogólnoswiatowe. Każdy ma prawo do swojej opinii. Na te krzywdzące komentarze trzeba po prostu nie zwracać uwagi, tylko skupiać się na rodzinie, sporcie i robić wszystko jak najlepiej się potrafi.

Rozmawiał Mariusz Rajek

Akcje bez powodzenia

KOLARSTWO

Cedrine Kerbaol z grupy EF Education-Oatly wygrała trzeci etap wyścigu Vuelta Espana. Francuzka skutecznie zaatakowała niedaleko przed metą w mieście A Coruna, a cztery sekundy wyprzedzając grupę z faworytkami. Jako druga finiszowała Belgijka Lotte Kopecky (SD Worx-Protime), a trzecia była Kanadyjka Sarah van Dam (Visma-Lease a Bike). Czerwoną koszulkę liderki zachowała Niemka Franziska Koch (FDJ United-SUEZ).

Na 11. miejscu wtorkowy etap ukończyła Katarzyna Niewiadoma (CANYON-SRAM zondacrypto). Na pagórkowatej końcówce Polka dwukrotnie próbowała samotnie odjechać, ale inne z faworytek do końcowego zwycięstwa nie pozwoliły jej na to. Inaczej było w przypadku Kerbaol, która nie powinna odegrać znaczącej roli w klasyfikacji generalnej, bo nie należy do specjalistek w jeździe po górach.

Wyścig zakończy się w sobotę niezwykle wymagającą wspinaczką na L'Angliru.

(g)

Jak Polka „kliknęła” z Martą Kostjuk

Nie Aryna Sabalenka, nie Iga Świątek ani też nie Jelena Rybakina, lecz 23-letnia Ukrainka jest najlepszą tenisistką pierwszej połowy sezonu na maczce. To również wielka zasługa jej trenerki, pochodzącej z Katowic Sandry Zaniewskiej.

Udało nam się porozmawiać nieco dłużej niespełna miesiąc temu, gdy do Gliwic zjechała reprezentacja Ukrainy na mecz z Polską w Billie Jean King Cup. Sandra Zaniewska towarzyszyła Marcie Kostjuk, z którą w lipcu „stuknie” jej trzy lata współpracy, m.in. opiekowała się jednym z jej psich ulubieńców. A że jest rodowitą Katowiczką, musiało nam zejść na sentymenty...

- To miał być mój tydzień wolny, ale jak się okazało, że mecz jest w Polsce i jeszcze na Śląsku, to nie mogłam tej okazji przepuścić - przyznała Zaniewska. - Moja mama spędza teraz więcej czasu w Krakowie, ale tata mieszka w Ligocie, tam gdzie się wychowałam. Wracam tu raz na kilka miesięcy, choć na dzień-dwa. Lubię wtedy iść do parku, w którym spędzałam czas jako dziecko, przejść się koło mojej podstawówki, Elementarza w Ligocie. Uczyłam się w niej tylko pierwsze trzy klasy, ale zawsze chcę poczuć te klimaty. Śląsk pachnie inaczej niż inne miejsca. Słyszałam, że w Katowicach bardzo dużo się zmienia, staje się takim „city”. Fajnie, to miasto zawsze miało potencjał. Nie miałam okazji jeszcze być w Strefie Kultury, NOSPR-ze, Muzeum Śląskim, ale moje wizyty tutaj przeznaczam na nostalgję, powrót do miejsc, które kojarzą mi się z młodością - podkreślała wówczas trenerka triumfatorce największego turnieju w ostatnim miesiącu, WTA 1000 w Madrycie.

Coaching na wyższym poziomie

Kostjuk jest trzecią zawodniczką z top 100, z którą pracuje 34-letnia Zaniewska - w zawodniczej karierze finalistka juniorskiego Australian Open (2009) w deblu, najwyższej w zawodowym rankingu 142. (2012). Pierwszą była Chorwatka Petra Martić (2018-19), kolejną Francuzka Alize Cornet (2020-21). Przez dwa lata Polka pracowała też w słynnej akademii Patricka Mouratoglou w Biot, między Niceą a Cannes.

Gdy w lipcu 2023 objęła pieczę nad Kostjuk, utalentowana Ukrainka nie mogła się jej nachwalić. - Zwykle nikt nie akceptował, ani nie próbował zrozumieć, dlaczego musiałam wyrzucić z siebie złość na korcie.



Sandra Zaniewska (druga z lewej), Marta Kostjuk, jej sztab i dwójka jej pupili podczas fety w Madrycie.

Nie było prób rozmowy i nawet nie pozwalano mi później tak reagować. Sandra wyraziła na to zgodę, a ja pomyślałam: wow, to się nazywa coaching na wyższym poziomie. Nigdy nie doświadczyłam czegoś takiego - mówiła w rozmowie z WTA Insider. - Czuję się teraz bardzo spokojna, bo nie muszę udawać ani się bać, że zostanę skarcona. Ona pozwala mi być tym, kim jestem - dodała Ukrainka.

Zaniewska z kolei podkreśla, że pomimo 10 lat różnicy wieku, szybko między nimi „kliknęło”. - Dużo z Martą rozmawiamy, ufamy sobie, mamy też podobne charaktery i poczucie humoru, a także wspólne zainteresowania, jak psy, dobre jedzenie czy zegarki, bo tenis nie jest całym naszym światem - uśmiecha się Katowiczką. - Myślę, że to pomogło nam przetrwać kryzysy na korcie, momenty „na granicy”, bo to naturalne, że takie są. I jest podstawą stabilnej współpracy. Jest między nami trochę przyjaźni, ale zawsze staramy się trzymać linię i pamiętać, że najważniejsze jest to, żeby Marta stawała się jak najlepszą zawodniczką. I dlatego wydaje mi się, że ciągle idziemy do przodu - mówi trenerka Ukrainki.

Salto w tył, skok w przód

10 kwietnia w PreZer Arenie jej podopieczna zapewniła Ukrainkom pierwszy punkt w wygranym 4-0 meczu z Polską,

3 TYTUŁY
ma na koncie Marta Kostjuk. Oprócz tegorocznych w Rouen i Madrycie w 2023 roku wygrała też imprezę w Austin (WTA 250). Zagrała też 3 razy w innych finałach - w San Diego i Stuttgarcie (oba 2024) oraz w Brisbane (2026).

bezdyskusyjnie punktując Magdę Linette 6:4, 6:0. Nikt jednak chyba wówczas nie przypuszczał, że będzie to początek tak wspaniałej serii zwycięstw tenisistki z Kijowa na kortach ziemnych. Dziś wynosi ona już 12 kolejnych wygranych i dwa zdobyte tytuły: w Rouen we Francji WTA 250, a przede wszystkim w „tyśięczniku” w stolicy Hiszpanii.

To największy sukces w karierze niespełna 24-letniej Kostjuk. W Madrycie straciła tylko jedno seta i odniosła dwa zwycięstwa nad zawodniczkami z top 10 - z Amerykanką Jessicą Pegulą i w sobotnim finale z Rosjanką Mirrą Andriejewą (6:3, 7:5). Po ostatniej piłce wykonała efektowną celebrację - salto w tył.

Do imprezy w Hiszpanii przystępowała jako 23. na liście WTA i została zaledwie drugą zwyciężczynią tej imprezy, notowaną poza czołową 20. W poniedziałkowym notowaniu awan-

sowała na najwyższe w karierze 15. miejsce.

Sukcesy niczym kłątwa

Była jednym z „cudownych dzieci” światowego tenisa: juniorski Australian Open w 2017 roku wygrała w wieku zaledwie 14 lat (!), była druga w rankingu, a rok później w debiucie wielkoszlemowym wśród zawodowców dotarła do trzeciej rundy w Melbourne - jako 15-latką!

Po latach przyznała, że ciężar tych wczesnych sukcesów towarzyszył jej przez długi czas w dorosłej rywalizacji. - Przez wiele lat żyłam w stanie, w którym wszyscy oczekiwali ode mnie dużych wyników. Bycie tak blisko zwycięstwa i osiągnięcie tak dobrych rezultatów w tak młodym wieku było niemal jak kłątwa - przyznała.

I choć z dumą wspomina tamte osiągnięcia, to dopiero uwolnienie się od tej presji pomogło jej wygrać. Rok rozpoczęła od finału w Brisbane, potem - w 1. rundzie Australian Open - skreśliła staw skokowy i pauzowała 6 tygodni. W marcu w Indian Wells oraz w Miami zderzyła się z wybitną wówczas Jeleną Rybakiną, ale po powrocie do Europy już „odpalila”: Gliwice, Rouen i Madryt, pozostając niepokonaną na kortach ziemnych.

Bombardowanie od środka

Jak sama mówi, zmiana nie wynikała z przebudowy

techniki, lecz z terapii i dojrzenia. - Tenis dla mnie zawsze wiązał się z wielkimi emocjami, zużywałam mnóstwo energii. Wszystko było dla mnie niezwykle ważne, zarówno zwycięstwa, jak i porażki. Bardzo trudno jest żyć w tym ciągłym emocjonalnym bombardowaniu od środka. Terapia bardzo mi pomogła, choć to nie jest łatwa droga. Powiedziałabym, że to bardzo nieprzyjemna droga - podkreśla Kostjuk.

Przed finałem w Madrycie przekonywała, że w końcu czerpie radość z gry. - Rozmawialiśmy z Sandrą o tym, że nawet kiedy dotarłam do finału w San Diego (2024), cały turniej był dla mnie mentalną katastrofą. Wyniszczałam się wewnętrznie. Powiedziałam jej wtedy, że owszem, doszłam do finału, ale nie chcę wygrać w taki sposób, za wszelką cenę - próbowałam zmienić tę narrację w mojej głowie. I zadziałało. Teraz wychodzę na kort, wykonuję swoją pracę i nie jestem emocjonalnie przywiązana do wyniku. Niezależnie od tego, czy wygrywam, czy przegrywam, po prostu dalej pracuję i staję się lepszą osobą oraz zawodniczką. To wszystko - podsumowała podopieczna Zaniewskiej.

Tenis to nie cały świat

Od soboty Madryt to i dla Polki spełnienie marzeń i celów - w karierze szkoleniowej. - Ale również

dowód na to, że praca, którą wykonujemy z Martą, jest właściwa, idzie w kierunku, w którym powinna - już „na chłodno” zauważa Katowiczką. - Marta jest trochę niekonwencjonalną zawodniczką właśnie z tego względu, że tenis nie jest dla niej całym światem. Jej dojrzewanie tenisowe zajmuje trochę więcej czasu. Ale patrząc na nią, jak się porusza, jaką ma prędkość piłki, jak jest inteligentna na korcie i chłonna do nauki, jak czuje swoje ciało, to nie wydaje mi się, żeby miała tenisowy sufit - przekonuje Zaniewska.

We wtorek Ukrainka wycofała się z rywalizacji w kolejnym „tysięczniku”, w Rzymie. Oficjalny powód to uraz prawego biodra, ale Kostjuk potrzebuje złapać oddech przed Rolandem Garrosem. - Na razie myślę o dniach wolnych, że po prostu nie będę widziała kortów ani tenisa. Miałam bardzo intensywne ostatnie kilka tygodni i chcę po prostu trochę odpocząć - sygnalizowała zaraz po hiszpańskim triumfie.

- Z Martą podróżuję około 38-40 tygodni w roku, spędzam z nią więcej czasu niż jej mąż. Dlatego teraz obydwoje odpoczniemy przed rozpoczęciem treningów do French Open i na pewno będzie to więcej niż tylko dwa dni wolnego - uśmiecha się w rozmowie ze „Sportem” polska trenerka najlepszej tenisistki ostatniego miesiąca.

Tomasz Mucha

BOJKOT SABALENKI?

■ Dziś w Rzymie zagrają Magdalena Fręch i Magda Linette, a Iga Świątek czeka na rywalkę. Liderka światowego rankingu Aryna Sabalenka oświadczyła, że jest gotowa zbojkotować wielkoszlemowe turnieje, aby wywalczyć lepszy podział dochodów. Białorusinka nawiązała do stanowiska grupy tenisistów, którzy wyrazili „głębokie rozczarowanie” w związku z planowanym wzrostem puli nagród na paryskim French Open (24 maja - 7 czerwca). - To my tworzymy show. Bez nas nie byłoby turniejów, bez nas nie byłoby rozrywki. Zastugujemy na lepsze wynagrodzenie, w pewnym momencie trzeba będzie zbojkotować turniej, jeśli to jedyne rozwiązanie, aby bronić naszych praw - powiedziała Sabalen-

ka przy okazji turnieju WTA 1000 w Rzymie. W poniedziałek czołowi gracze, w tym Sabalenka i nr 1 męskiego rankingu Włoch Jannik Sinner, ubolewali, że chociaż organizatorzy French Open zwiększyli łączną pulę nagród w tym roku o 9,5 procent - do 61,7 mln euro - to i tak będzie to poniżej 15, zamiast oczekiwanych 22 procent. Rozstawioną w Rzymie z „jedynką” Sabalenkę w 2. rundzie czeka starcie z wracającą po kontuzji mistrzynią Rolandu Garrosa 2021, Czeszką Barborą Krejčíkovą. W środę na Foro Italico mecz 1. rundy powinny rozegrać Magdalena Fręch (45.) z Alexandrą Eala (42.) z Filipin oraz Magda Linette (55.) z Niemką Tatjaną Marią (54.). Iga Świątek (3.) czeka na rywalkę i wyjdzie na kort dopiero w piątek.